Nr. 5. Poznań, Niedziela 3go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

„La politique royale.“

Z powodu urodzin cesarskich zamieścił „*Kuryer Poznański*“ artykuł, przewyższający wszystko, co warsztaty lojalizmu naszego dotychczas na świat wydały. Cytujemy go *in extenso*, aby czytelnicy nasi nie uronili ani słowa z charakterystycznego dokumentu i zrozumieli dokładnie uwagi, które następnie poświęcimy Kuryerowej polityce. Artykuł p. t. „*W dniu urodzin cesarza*“ brzmi:

„Dojrzałem jest społeczeństwo i naród, które umieją szanować władzę. My twierdzimy, że mimo licznych wybryków, jakie się wszędzie zdarzają, społeczeństwo nasze pochlubić się może pewnikiem, że uznało potrzebę szanowania władzy, a zatem dojrzałością polityczną poszczycić się może. Wyraz poszanowania tego objawia się na zewnątrz w najróżniejszych formach. Dziś nam wypada zaznaczyć tę, która znajduje wyraz w czci najwyższego reprezentanta władzy świeckiej t. j. miłościwie nam panującego króla i cesarza.

Obchodzimy dziś wraz z całem państwem urodziny cesarza Wilhelma II. Nie naszą rzeczą sądzić jego czyny, dzieła, zamiary, wolę i uczucia. Historya to sądzi. My jako czcimy w nim reprezentanta najwyższej władzy świeckiej, z woli Boga ustanowionej, tak zniewoleni jesteśmy z woli najlepszej niczem nie zaćmionej, złożyć u stóp jego tronu najszczersze życzenia lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelakiego, bo z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca Bożego. Wszystko inne złudne jest na świecie, dla tego my wierzymy wyłącznie w Boże powołanie monarchy, twierdzimy zawsze i dziś, w dzień tak uroczysty, że bramy piekieł takiego powołania nie skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią. Źli ludzie, ogołoceni z ciepła promieni Bożej łaski, mogą nami do czasu poniewierać, mogą usilnie pragnąć, żeby wola monarchy stała się stronniczą, dokuczliwą dla słabych, mogą zachodzić okoliczności, w których tryumf złych ludzi zdawałby się być bliskim i niewątpliwym, a jednak tryumf ten rozbić się musi o Boże powołanie monarchy i owo poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może tylko tym, co najwyższe jej w swym ręku dzierżą szale.

Jakkolwiek więc dziś chmurne nastały czasy, czasy w których złość i niegodziwość ludzka, a nienawiść narodowa i rasowa pragnie zagłuszyć wszelkie sprawiedliwości i słuszności uczucia w narodzie, który nam przez najgorszych synów swych zaprzysięga zagładę, my w spokoju chrześcijańskich męczenników, jak się lojalnie bronimy, tak i przy nadarzonej sposobności tem lojalniej wygłaszamy cześć dla władzy, której prawowitość uznajemy.

Nie ziściły się nadzieje nasze, że już w tym roku jako równouprawnieni członkowie państwa będziemy mogli tem radośniej obchodzić urodziny naszego Monarchy. Znosimy z pokorą dopuszczenie Boże, przez piekielną zazdrość w karze za grzechy nasze nam zgotowane, ale dla tego nic nas nie zepchnie z drogi dojrzałości politycznej, która czcić nam każe władzę przez Boga nadaną.

Z tej zasady, choć niepoznani i upośledzeni do czasu, przyłączamy się bez niewłaściwego w naszem położeniu wesela, ale szczerze, w cichości duszy, ufnej w Boże wyroki, do zastępów tych, którzy dziś wznoszą okrzyki uroczystościowe na cześć Monarchy.“

Czy artykuł powyższy nadesłano z „*arcypoważnego*“ źródła, rozstrzygać nie możemy, styl jednak, ton i forma pozwalają z pewnem prawdopodobieństwem wyciągać wnioski dotyczące charakteru autora, rodzaju jego zajęcia i sfery umysłowej, wśród której żyje. Domyślności czytelników naszych pozostawiamy zbadanie tej interesującej kwestyi, a my stwierdzamy jedynie fakt, że artykuł p. t. „W dzień urodzin cesarza“, zamieszczony w piśmie ultraklerykalnem, piśmie służącem nie tyle religii, ile specyalnym interesom Kościoła, piśmie upatrującem pierwszą ojczyznę w Rzymie, a drugą dopiero w Polsce, jest poniekąd apoteozą owego historycznego momentu, który stanowi porażkę wielkiej idei watykańskiej, wyciskającej piętno niezatarte na całym okresie średniowiecznych dziejów. Rzeczywista zasada supremacyi królewskiej z dewizą „bożej łaski“ na czole, zasada monarszego absolutu, zawisłego od Boga jedynie i jemu jednemu zdającego sprawę z swych czynów, zasada tronowego bożnistwa streszczająca się w historycznem zdaniu: *Le roi ne se trompe pas* — obcą była epoce całych wieków średnich. „Pomazańca bożego“ upatrywały czasy owe jedynie w papieżu, a chociaż buntowały się duchy śmiałe przeciw absolutyzmowi watykanu, to Hildebrandowska teorya o „słońcu — papieżu i księżycach — królach“ długo wśród burz politycznych stała niezachwiana. Dopiero grom reformacyi podziałał przełomowo i wielkiego wywrotu w życiu Europy dokonał. Liczba „pomazańców bożych“ się mnoży, trony wyrastają do potęgi niezawisłych absolutów, idea „z łaski bożej“ wyłania się w blaskach potężnych z westfalskich punktacyi i jaśnieć poczyna w coraz szerszym rozwoju na tronach królewskich i książęcych. Zwrot ten, który w takim Henryku VIII znalazł wyraz jaskrawy i dźwignią charakterystyczną, potęguje się z jednego lat dziesiątka na drugi i w okresie „oświeconego despotyzmu“ szczytu swojego dosięga. Zwrot ten, któremu dziś bawochwalczą ofiarę składa pośrednio klerykalny „Kuryer Poznański“, jest dziełem reformacyi, dziełem *protestantyzmu.*

Z końcem XVIII wieku blednąć zaczyna aureola bóstwa na tronie. Europa wstępuje w znak konstytucyi i wśród zgrzytów gilotyny „król z bożej łaski“ ginie, a z krwią przesiąkniętej ziemi wyrasta tron nowy — „tron z ludu łaski“.

W pierwszej połowie XIX stulecia zamienia się cała Europa w wulkan rewolucyjny, a każde wstrząśnienie nieomal to nowa klęska „pomazańców bożych“, nowe zwycięstwo idei konstytucyjnej. Król, jako najwyższy urzędnik ludu, zstępuje w niziny zwykłych śmiertelników, nadprzyrodzone blaski potęgi jego gasną i w dym się rozwiewa dumne słowo despoty: „*L'état c'est moi*“.

Zdawaćby się mogło, że prąd ten nowy właśnie w naszem społeczeństwie, wykarmionem tradycyami elekcyi i republiki, znajdzie grunt przygotowany, — zdawaćby się mogło, że my Polacy w obecnem położeniu wahać się nie możemy, w którą stronę zwrócić sympatye swoje. — czy tam, gdzie walczą o coraz większą swobodę ludu, o rozwój zasad humanitarnych, o decentralizacyę władzy, czy też tam, gdzie z desperacyą straceńców bronią starych przywilejów i autokracyi tronowych jednostek, — a przecież „są rzeczy na niebie i ziemi, o których się mędrcom nie śniło“, które jednak „Kuryer Poznański“ odsłonił. W ubiegłym tygodniu poświęciliśmy obszerny artykuł fundamentom polityki naszej, a w artykule tym znajdą czytelnicy odpowiedź, gdzie logika szukać nakazuje sprzymierzeńców polskich. „Wszelkie dążenia, mające na celu wywalczenie wolności dla szerszych mas, sprzyjają naszym interesom, gdyż otwierają i nam możność korzystania ze swobód ogólnych“

„...Dla nas naturalnymi sprzymierzeńcami w każdym narodzie są te stronnictwa, które o wolność i potęgę walczą, gdyż pracując dla ogólnego dobra, i nasze także popierają interesy“. Oto słowa, rzucone społeczeństwu przed kilku dniami, — słowa, które dziś prezentujemy z całym naciskiem reakcyjnym politykom „Kuryera Pozn.“. Jest w nich odpowiedź na dyplomacyę wstecznictwa święcącą orgje prawdziwe na gruncie poznańskim i galicyjskim, — jest w nich protest energiczny przeciw monarchicznemu bałwochwalstwu, którem organ klerykalny wita dzień urodzin cesarskich. My nie potępiamy objawów szacunku i sympatyi dla monarchy, jeżeli z wyżyn królewskich tryska prąd humanitarny i orzeźwiającem tchnieniem miłości ogarnia wydziedziczonych, ale rzucamy rękawicę by-

zantyńskiemu obłąkaniu, które tron do wyżyn bóstwa wynosi, a mianowicie w naszych stósunkach wywierać musi wrażenie kompromitującej farsy politycznej, farbować rumieńcem swobodnych i prawa zdobyte miłujących obywateli, a wreszcie niszczyć w szerokich tłumach poczucie narodowej odrębności, bez którego nie ma życia, jest tylko wegetacya. W „Kuryerze Pozn.“ monarchiczny dewotyzm przeszedł w szał chorobliwy, w manję tak drastyczną, że podobnej nie było jeszcze na poznańskim gruncie. Dowiadujemy się, że Polacy „z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca bożego“, — że wierzą *wyłącznie* w Boże powołanie monarchy“, którego *„bramy piekielne skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią“*, — że *„tryumf złych ludzi rozbić się musi o poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może* **tylko** *tym, co najwyższe jej w swym ręku dzierżą szale“*. Nie przypuszczamy, aby autor powyższych nonsensów zastanowił się nad konsekwencyami tej charakterystyki monarszych przymiotów, bo zawiera ona rozgrzeszenie wszystkich niesprawiedliwości królewskich i apoteozę gwałtów historycznych. Jeżeli na tronowych szczytach jest „boże powołanie“, jeżeli bramy piekieł skrzywić go nie potrafią, jeżeli tryumf złych ludzi o nie się rozbija, a poczucie sprawiedliwości właściwem jest „tylko“ królom, natenczas Ludwik XI lub Iwan Groźny byli z natchnienia bożego wcieleniem najwyższej sprawiedliwości, — natenczas rządy cudzołożnic za czasów Ludwika XV, skreślenie Polski z rzędu państw europejskich, dręczenie narodu naszego pod rosyjskim berłem i tysiące innych gwałtów tronowych zyskują znamiona cnoty archanielskiej. A jeżeli to wszystko było tylko przelotnym „tryumfem“ złych ludzi — królewskich doradzców, to czemuż tryumf ten nie rozbił się o boże powołanie monarchy, którego „bramy piekieł na trwałe skrzywić nie potrafią?“ Do takich absurdów posunął się „Kuryer Poznański“; — jest to obłąkanie, które już nie gniew, lecz litość najgłębszą obudza.

Oprócz scharakteryzowanego wybryku zboczeń umysłowych, znajduje się w „powinszowaniu“ „Kuryera Pozn.“ jeszcze tendencya innej natury, a mianowicie gwałtowne wciskanie sprawy polskiej między tron i naród, przeciwstawienie Niemcom niemieckiego monarchy, jednem słowem jakieś mętne *„divide et impera“*, z którego my Polacy bić mamy poważny kapitał. Już „Orędownik“ określił trafnie całą impotencyę podobnej dyplomacyi, zapoznającej zupełnie stósunki państwa konstytucyjnego i strojącej tron w takie blaski absolutnej potęgi, które ustrój parlamentarny zagasił od dawna. Jest to nowy dowód krótkowidztwa lojaznu naszego lub wręcz polityka zrozpaczonego bankruta, który nie oblicza, nie rozważa, nie analizuje, lecz łódź puszcza z wiatrem na oślep: Niech płynie! W monarchii pruskiej nie król, lecz reprezentanci ludu są rozstrzygającą władzą i dla tego opieranie całej dyplomacyi na wątpliwych sympatyach cesarza oraz sztuczne wysuwanie monarchy przeciw narodowi jest polityczną utopią. A gdyby nawet wola królewska do posłuszeństwa zmusić mogła przedstawicieli narodu, to gdzież dowód, że między opinią tronu a opinią ludu istnieje przepaść głęboka, gdzież prawdopodobieństwo, że dla zjednania sympatyi polskich poświęci Wilhelm II sympatye niemieckie! To szał i obłąkanie, ale *„ist es auch Wahnsinn, so ist doch Methode drin“*.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

W obec elastyczności nowej ustawy przewrotowej, wniesionej w parlamencie niemieckim, zamieszcza *„Gazeta Grudziądzka“* (Nr. 10) następującą przestrogę:

„Około roku 1880 przyjęto w pruskiej izbie poselskiej nowelę do ordynacyi procederowej, mającą za cel położenie tamy szerzeniu przez kolporterów niemoralnej i nieobyczajnej literatury (Schundliteratur) pomiędzy ludem.

Nowela ta przyjętą została głosami Polaków, których zapewniono uroczyście z ławy ministrów, że z książek przeznaczonych do handlu obnośnego usuwać się będzie jedynie to, co się przyczynia do nieobyczajności i zepsucia zmysłowego. Zaręczano i sumitowano się, że z noweli żadnego innego użytku, a tem mniej nadużycia nie będzie. Tymczasem co się stało wbrew wszelkim zaręczeniom?

Przedewszystkiem zabrano się do książek polskich do nabożeństwa i obcinano w nich nielitościwie to, co przez długie lata podnosiło ducha pobożnych czytelników.

Z litanii do Matki Boskiej odrzucono wezwanie: Królowo korony polskiej módl się za nami;

Z pieśni do świętej Rozalii wykreślono wiersz: „Ratowałaś Sycylią,

„Ratujże i Polonią.“

Wyrzucono z książki do nabożeństwa arcybiskupa Dunina modlitwę „Za Ojczyznę“, również pieśń o św. Stanislawie, „patronie Pelski“ i modlitwę do św. naszych patronów. W niektórych pozwalano sobie na bardzo niefortunne przeróbki np. w pieśni do św. Mikołaja zamiast „wielkiemu ludowi“ (polskiemu) napisano „wszelkiemu ludowi“. „Wzywa cię polska korona“ zmieniono na „wzywa cię każda świata strona“ i t. d.. i t. d.

Polacy, którzy w dobrej wierze głosowali za nowelą, polegając na zaręczeniu ministrów, doczekali się ohydnego zastósowania tego prawa.. ku zatraceniu patronów swego kraju i detronizacyi Królowej Polski.“

Rywalizujący w lojaliźmie z „Kuryerem Poznańskim“ „Dziennik Kujawski“ pisze w numerze 21:

Rada „Dziennika Pozn.“, aby nie brać udziału w obiadach na cześć cesarza, jeżeli do biesiadujących należą członkowie KHT, jest nietylko niefortunną, ale nawet wprost dla nas [illegible], że na 50 uczestników jest 10 Polaków i 30 Niemców, a pomiędzy nimi znajduje się 2 KHT. Podług rady „Dziennika Pozn.“ powinni Polacy dla tych dwóch Kennemanczyków ustąpić. Jakiż ztąd skutek? Oto landrat zda o tem raport do wyższej władzy, a usłużne osoby nie omieszkają uwiadomić o tem cesarza. Przecież nie jest to tajemnicą, że numery „Kujawischer Bote“, które wymyślały na Polaków, przesłano także do kancelaryi cesarskiej. Zaszkodzimy zatem sami sobie, a spółka KHT śmiać się będzie. Papier jest cierpliwy, ale z tego nie wynika, aby wszystko na nim drukować. Zresztą przymusu do udziału w obiadach nie ma, kto zatem chce, niech idzie na obiad, ale nie należy zachęcać ogółu do czegoś podobnego. Wogóle sądzimy, że dla osoby cesarza należy zawsze zachować szacunek.

—

Do *„Gazety Toruńskiej“*, nawołującej Polaków, aby nie abonowali grudziądzkiego „Geselligera“, osławionego organu K. H. T., pisze jeden z przemysłowców polskich:

„Jeżeli chodzi o wytrącenie głównego organu KHT, sławetnego „Ges.“ z rąk Polaków, to na to jeden jest tylko sposób. Oto trzeba się starać, aby choć jedno z pism naszych mogło skutecznie z „Ges.“ współzawodniczyć i pod względem informacyjnym zupełnie go zastąpić. Jeden z naszych czytelników, gorliwy Polak i katolik, pisał nam tak: „Chcecie z domów polskich wyrzucić „Ges.“, to stwórzcie dziennik, któryby tak samo, jak on, codziennie podawał wyczerpujące telegramy polityczne, któryby tak samo jak on pomieszczał codziennie liczne a treściwe korespondencye z całej prowincyi. Zakładanie pisemek, które nawet wiadomości o sprawach polskich po części podają w kilka dni po „Ges.“, pismu temu nie zaszkodzi, lecz raczej wychodzi mu na korzyść, osłabiając starsze pisma i utrudniając im tem samem współzawodnictwo z „Ges.“. Prenumeruję wszystkie bez wyjątku zachodnio-pruskie i niektóre inne pisma polskie ale bez owego nader wstrętnego mi organu, niestety, jako przemysłowiec obyć się nie mogę. Starajcie się Panowie zastąpić ten organ. Gdy tego dzieła dokonacie, oddacie rzetelną przysługę społeczeństwu a Polacy „Ges.“ prenumerować nie będą.“

—

Sprawa rozwiązanego towarzystwa „Oświata“ w Lipinach na Górnym Szląsku staje się coraz głośniejszą, dzięki tamtejszemu proboszczowi Ronczce, który nietylko, że spowodował zamknięcie polskiego towarzystwa, ale obecnie po dokonanem zamknięciu ściga je zaciecie po gazetach. *„Katolik“* kilkakrotnie już ujął się za „Oświatą“, a w nr. 12 poświęca całemu zdarzeniu obszerny artykuł, wykazujący bezprawie policyjnego rozporządzenia i udzielający nauczki ks. Ronczce, jednemu z najgorliwszych germanizatorów na Szlązku.

—

Rejencya opolska przysłała do wydawnictwa *„Gazety Opolskiej“* formularz do wypełnienia. W formularzu mieszczą się zapytania, kto jest wydawcą, głównym redaktorem, drukarzem „Gazety“ i ile takowa ma abonentów. Chodzi tu może o stwierdzenie rozwoju oświaty ojczystej wśród ludu polskiego na Górnym Szląsku.

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w nr. 13:

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

I.

Janek urodził się pod szczęśliwą gwiazdą — dwakroć szczęśliwą: raz — że był pięknym jasnookim chłopcem, a drugi — że go rodzice Jankiem nazwali. Kiedy przechodził ulicą, w płaszczu, zarzuconym fantastycznie na ramiona — a paradować musiał kilka razy dziennie przez Nowy-Świat do uniwersytetu, gdyż mieszkał na Aleksandryi — wszystkie panienki zwracały ku niemu ciekawe i sympatyczne spojrzenia. Był to słuszny, kształtny chłopiec, jak topola, o ślicznej, pociągłej twarzy, rumianych policzkach, falistych kędziorach, które jak zwoje jedwabiu wysuwały się gwałtem z pod czapki, mieniły się jak złoto do słońca i wieczną wojnę toczyły z wietrzykiem. Dorastające, a nawet już dorosłe panienki wiedziały, że się nazywa Jankiem, że kończy filozofię i — pisze wiersze. Nie mogły mu przebaczyć nudnej łaciny i greki, ale poezya była łaskawym i pobłażliwym pośrednikiem i przewodnikiem spojrzeń, wpadających wprost w oczy Janka. Imię jego, wśród rozmaitych emblematów i kwiatków, wypisywały na kajetach pensyonarki wyższych klas co najmniej trzech pensyonatów w Warszawie, a przyłapane przez swoje nauczycielki lub przełożone tłómaczyły się odważnie, że to imię brata, kuzynka lub, nawet tatka. Dwa razy do roku opanowywała je formalna epidemia bazgrania po kajetach — w czasie karnawału i w maju, ale trudno było temu zaradzić! Nieraz śród dyktanda, śród niewielkiej pauzy, nagle pióro zaczęło się samo poruszać i na marginesie zjawiał się nie dyktowany wcale wyraz — Janek. Takie to już miał szczęście ten chłopiec.

Ale — patrzyły na niego oczy inne także.

Raz wieczorem, już około godziny dziewiątej, w same zapusty, wbiegł do jego mieszkania kolega Zyzio, Zyzio — i tyle. Mało kto znał jego nazwisko, ale imię znali wszyscy koledzy. Żadnych przymiotów osobistych nie posiadał — oprócz młodości. Wleciawszy do pokoju jak huragan, od razu do Janka się zwrócił:

— Idziesz dzisiaj na maskaradę?

— Nie.

— Chodź.

— Fraka nie mam.

Zyzio cmoknął i palcami klasnął, wyrażając w ten sposób niezadowolenie.

— Głupia sprawa — dodał.

Chwilkę obaj milczeli.

— Wiesz co — odezwał się Zyzio — frak i... resztę możesz pożyczyć u Aronka... tylko co przechodziłem koło niego i widziałem w oknie zachęcający napis: „fraki do wynajęcia.“

— Wszakże to bardzo pięknie, ale... ba...

Przy tych słowach Janek do kieszeni sięgnął, sakiewkę skórzaną wydobył, otworzył, zbliżywszy się jednym susem do stołu, wszystko co było w niej wysypał.

— Poczekaj... obliczmy się...

Zaczął liczyć. Były to same drobne pieniążki — złotówki, czterdziestówki, grube miedziane dziesiątki i nieco kopiejek. Liczyli razem, a potem Janek dodał wszystko i rzekł dość kwaśno:

— Dwa ruble i dwadzieścia groszy...

— Doskonale! Tyle właśnie ile potrzeba: rubel bilet, rubel frak, dwadzieścia groszy

Warte zastanowienia! Niemieckie towarzystwa dobroczynności zajmują się, jak to widzimy z przekładu „Reichsfechtschule“, agitacyą na cele narodowe, przeznaczając pewną część dochodów, jakie w skutek tej agitacyi wpłyną na własne właściwe cele. Czyżby nasze towarzystwa dobroczynne nie mogły zająć się również zbieraniem składek w ten sposób, że jedna trzecia zebranych funduszy przypadałaby na cele dobroczynne, a dwie trzecie na narodowe n. p. „na Wawel“, albo „fundusz Kościuszki.“ Niejeden chętnie daje na cele dobroczynne, inny na narodowe — ale dając na wyżej wymienione cele, połączyłby jedno z drugiem — Bogu na chwałę i ludziom na pożytek!

„*Orędownik*“ zamieszcza w nr. 20 następujący artykuł:

„Gaz. Gdańska“, znany organ partyi dworskiej, choć się tego zawsze solennie wypiera, że tylko broni „zgody i solidarności“, wypowiada szczególniejsze zdanie o potrzebie publikowania treści obrad Kół polskich. Wszystko na to, żeby tylko poczciwych Zachodnioprusaków partya dworska wodziła jak najdłużej na pasku.

Pisze, że potrzeba referowania o tych naradach powstała na bruku poznańskim, jest więc lokalną, (?) nie ogólną (!). To dopiero wytrawny publicysta. Ostrzega więc przed tem, bo to mogłoby nam szkodę przynieść. Czy zbyt „jawna“ polityka nasza nie sprowadziła na nas dość klęsk? — zapytuje. Radzi więc tylko to publikować, co posłowie będą chcieli. — jak było dotąd!

Dotąd było tak, że p. Kościelski z swymi intimusami wyłowili ryby w mętnej wodzie tajnych obrad Kół polskich, a jak się samodzielni wyborcy na tem poznali, to zaczął ich z swymi kolegami po duchu wyzywać i to grubo we wszystkich swych organach, — także w „Gaz. Gdańskiej“ dopóki nie musiał kończyć na żydowskich interwiewach.

A „Gazeta Gdańska“ życzy sobie, żeby było, jak bywało.

Cała ta sprawa, o której pierwszy „Kuryer“ doniósł, że nad nią Koło sejmowe obraduje, pozostanie póty czczym przedmiotem, dopóki do Kół poselskich nie dostanie się więcej tak samodzielnych charakterów, jak poseł dr. Krzymiński, dopiero, gdy ci przyjdą w sukurs dodatnim elementom w Kołach naszych, doczekamy się publikowania obrad Kół polskich. Rychlej nie!

—

W numerze 22 „*Orędownika*“ czytamy:

Towarzystwa nasze, jakkolwiek mają najlepsze tendencye, same o własnych siłach prawdziwego życia w łonie Towarzystwa wzbudzić nie mogą, nie mając żadnych podręczników, któreby jako wskazówki służyły. Przed kilku laty było u nas w Księstwie kilka gazet z kolei specyalnie sprawom przemysłowym oddanych, jak n. p. „Tygodnik Przemysłowy“, „Trud“, te upadły, być może dla braku abonentów, być też może, że Towarzystwa nasze, nie widząc zagrożonego swego bytu, sprawami przemysłowemi się mało zajmowały i tak wielce w naszem społeczeństwie polskiem potrzebnego pisma nie poparły. Czas nas uczy; w ostatnich kilku latach widzimy nowe prądy, uderzające na nasz przemysł, i dziś byłoby na miejscu nad tem pomyśleć.

Gazet omawiających sprawy polityczne mamy dość dużo, należałoby nad tem pomyśleć, ażeby w obecnych, dla przemysłowca polskiego zagrożonych czasach, wydawać pismo specyalne dla spraw przemysłowych, coś na wzór „Gazety rzemieślniczej“ warszawskiej, która dla naszych towarzystw nie odpowiada ponieważ nieomal trzy czwarte swych łamów zapełnia sprawami i cechami Królestwa Polskiego, a te nas mało obchodzą.

—

„*Postęp*“ wywdzięczając się czasopismom klerykalno-konserwatywnym za bezustanne zarzuty hołdowania socyalistycznym i antireligijnym tendencyom, tak polemizuje z „Dziennikiem Pozn.“.

„S o c y a l i s t a ?“ „Dziennik“ wczorajszy zaczepił w nieładny sposób Najprzewielebniejszego Arcybiskupa warszawskiego ks. Popiela. Nazwał ks. Arcybiskupa zwyczajnie sobie Popielem bez tytułu Arcybiskupa, a nawet bez tytułu księdza, jakby sobie ten dostojnik kościelny był dziennikowym kompanem. Pisze dalej, że ks. Arcybiskupa chciano z pewnego domu wyprosić, bo nieproszony przyszedł na biad. Przedstawia ks. arcybiskupa jako pieczeniarza i darmozjazda. Co za nierozum! Metropolita nieproszony będzie chodził po mieście i wąchał, gdzie są wystawne i smaczne obiady? Takie brednie wolno dworakom pisać, bo oni mają tylko patent na „dobrych“katolików Innych toby za to do inkwizycyi oddano, gdyby się dało naturalnie.

—

W sprawie znanego procesu ks. arcybiskupa Stablewskiego przeciw „Postępowi“ pisze „*Orędownik*“ w nr. 23:

Proces ks. Arcybiskupa przeciw „Postępowi“ w znanej sprawie toczył się wczoraj przed poznańską izbą karną i zakończył się zasądzeniem „Postępu“ na 40 marek kary.

Tak niską karę uważał sąd za stosowne zawyrokować zapewne dla tego, że świadkami stwierdzono, iż w uroczystość Wszystkich świętych rzeczywiście w katedrze podczas nabożeństwa pracowano.

Ze względu na wysokie stanowisko i dostojeństwo kościelnej strony skarżącej wstrzymujemy się od wszelkich uwag, o ileby one właśnie tej strony dotyczyły — z powodu każdemu zrozumiałych.

Z innej strony i ze strony „Kuryera“ postarano się jednak o to, aby temu procesowi nadać znaczenie sprawy, której milczeniem w żaden sposób zbywać nie można. „Kuryer“ materyą procesu przedstawił tak, jak gdyby chodziło — o walkę przeciw naszemu duchowieństwu, przeciw Kościołowi i dogmatom! Z nienawiści politycznej do „Postępu“, pisma — dzięki Bogu — do dziś na wskroś katolickiego — wyzyskał święte rzeczy. Już w swoim czasie zwróciliśmy uwagę na niestosowność tych lekkomyślnych zarzutów.

Takie wyzyskiwanie rzeczy świętych dla interesów świeckich, politycznych i stronniczych jest rzeczą w naszych stosunkach bardzo niebezpieczną. Dzisiaj nie będziemy wskazywali na rozmiary tego niebezpieczeństwa, ale nasze duchowieństwo, mianowicie to, które wśród wstrząśnień i niespodzianek, jakie społeczeństwo nasze przechodzi od lat 4, zachowało jasny i spokojny umysł, niech zawczasu myśli, żeby z tego, co się u n s dzieje, nie było szkody dla Kościoła i narodu, bo szkoda może nastąpić także z tego, gdy duchowieństwo w czasach tych ciężkich prób, jakie przechodzimy, zaniecha czynić tego, coby uczynić należało.

Że artykuł „Kuryera“, o którym mowa, kwalifikuje się na to, żeby o nim zareferować ks. kard. Rampolli, to przecież powinnoby duchowieństwo nasze uznać.

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

Stosunkowi Bułgaryi do Rosyi poświęcają „*Nowoje Wremia*“ artykuł następujący:

„Książę Ferdynand myśli, że w Petersburgu zawiał dziś dla niego wiatr pomyślniejszy. Sądzi on, że Rosya tylko czeka na krok pierwszy, zrobiony ze strony Bułgaryi, aby wszystko, co było, puścić w niepamięć i wróci Bułgaryi zaufanie. W tych dniach przybył do Sredca pensyonowany pułkownik bułgarski Kesjakow, znany w Petersburgu ze swych sympatyi rusofilskich, Rząd bułgarski przyrzekł mu znaczniejsze wsparcie z funduszu dyspozycyjnego, jeżeli pojedzie do Petersburga, aby tam grunt przygotować deputacyi bułgarskiej, którą zamierza do młodego cara wysłać książę bułgarski.

„Na czele tej deputacyi stanął metropolita ruszczuczki Grygorej, indywiduum oddane całkiem księciu Ferdynandowi, znany intrygant, któremu nie można odmówić zręczności dyplomatycznej.

„W Sredcu w kołach rządowych powszechnie sądzą, że deputacya znajdzie przyjęcie i posłuch, że tym sposobem położy się koniec naprężonym stosunkom, panującym od tak dawna. Rządowi bułgarskiemu zależy na tem przedewszystkiem, ażeby nie dopuścić interwencyi Cankowa lub Karawełowa, którzyby ugodę bułgarsko-rosyjską przyprowadzili do skutku na koszt księcia. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o to, aby księciu Ferdynandowi i młodemu następcy tronu, zapewnić możność zachowania wyznania katolickiego, czemu sprzeciwiają się obydwaj wyżej wymienieni patryoci bułgarscy.“

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ drukuje mowę posła chorwackiego Bakitja, którą tenże w sejmie istryańskim wygłosił, określając stosunek słowiańskiej ludności do aspiracyi włoskich:

„Nie jesteśmy Włochami, mimo to kochamy Włochów i cenimy wysoko kulturę włoską. Przejęci czcią głęboką i szczerą dla wszystkiego, co jest liberalne, potępiamy ukrywające się pod płaszczykiem liberalizmu niskie tendencye teroryzmu, jakim się wobec nas współobywatelstwo włoskie posługuje.

„Słowianie doskonale pojmują ducha czasu i nie znamy większego barbarzyństwa ponad to, które chce nas pozbawić gwałtem skarbu najdroższego, jakim jest narodowość i prawo, które każdy naród ma do swojego języka. Panowie Włosi mylą się, jeżeli sądzą, że zdołają stłumić ducha słowiańskiego jakiemibądź środkami gwałtownymi. Nie ma takiej siły, którąby zgnieść potrafiła ideę sprawiedliwości. Idea chorwacko-słowiańska z dniem każdym zyskuje na sile i jest tylko kwestyą czasu jej tryumf zupełny nad przeciwnikiem tracącym grunt pod nogami.

Nie chcemy nic innego, tylko sprawiedliwości. Chorwaci i Słowińcy dziś już nie śpią; Włosi nie zdołali zabić naszego ducha narodowego, gdy tenże był w uśpieniu, jakże tego dokażą dziś, kiedy lud cały domaga się rewindykacyi swoich praw?“

„Mówią nam: Słowianie dążą do jedności, czemuż do jedności Włoch dążyć nie wolno. Jedność, do której dążymy, jest postulatem zasady narodowościowej i prawa państwowego chorwackiego, — jest jednością naturalną. To, do czego dążą nasi przeciwnicy, jest czemś

---

szatni zapłacisz... Ubieraj się, pójdziemy do Aronka.

— Głodni wrócimy... — zauważył Janek.

— Et, głupstwo! U mnie będzie samowar, bo Solski całą noc nad skryptami siedzi... Ubieraj się.

Widocznie argument ten trafił do przekonania Janka, bo nie mówiąc ani słowa więcej, począł płaszcz naciągać.

— A ogolony jesteś? — zaczepił Zyzio.

Janek ręką pod brodą pociągnął, jakby się chciał przekonać, czy istotnie ogolony.

— Tak, dziś goliłem się.

— Zabierz wszystko, ażeby już nie wracać, bo uważasz, szkoda dychy.

Uwaga ta była w sam czas zrobioną.

— O, widzisz, byłbym zapomniał... rękawiczki wziąć trzeba...

Już w płaszczu będąc, wysunął komodę, szukał, przewracał długo, gniewał się, w końcu z tryumfującą miną rękawiczkę wyjął.

— Jest! — zawołał.

— A druga?

Janek marsa zrobił. Zyzio domyślał się o co chodzi.

Et, wiesz... w ostateczności możnaby i jedną się zadowolnić... będziesz w ręku trzymał i dosyć. Kto ci tam zechce sprawdzić, czy masz drugą czy nie.

Uwaga praktycznego Zyzia wcale była słuszną, mimo to Janek szukał jeszcze. Zamykał jednę szufladę, otwierał drugą — znowu zamykał, znowu otwierał.

— Niech go jasny piorun trzaśnie! — zawoł oburzony — jak się coś zapodzieje, to potem ze świecą znaleźć nie można.

Nagle, jak gdyby go myśl jakaś oświeciła, rzucił się do wieszadła jak pantera i wiszący surdut obszukiwać począł. Z tylnej kieszeni wyciągnął wreszcie tryumfująco rękawiczkę.

— A...a...a...

Pokazało się, że wróciwszy z ostatniej wizyty, jedną rękawiczkę zostawił w kieszeni surduta, drugą przez zapomnienie do szuflady wrzucił. Ostatecznie przeszkody nie było już żadnej. Janek złączywszy obie rękawiczki, jak przykładną i zgodną parę, wsunął je do płaszcza i rzekł tryumfująco:

— Chodźmy!

Podążyli tedy wprost do Aronka. Posiadał on własny sklep z gotowem ubraniem na ulicy Święto-Krzyzkiej. Na wielkim szyldzie, widać było na czarnem tle napis złotemi literami: Aron Grünfeld — sztychowany kaligraficznie z rozmaitemi wykrętasami — a z obu stron drzwi wchodowych, jakby dla ozdoby, wisiały szyldy, będące niejako uplastycznieniem i dopełnieniem górnego. Aron, jakkolwiek wiedział o tem, że złocisto wypisane jego nazwisko samo niejako w oczy wpadało, na wszelki wypadek jednak, dla tych, którzy nie lubią zadzierać głowy do góry, lub co gorsza nie umieją czytać, wywiesił po dwóch stronach drzwi: dwóch elegancko ubranych młodzieńców, malowanych przez jakiegoś mistrza z Bagna lub Grzybowa. Istotnie, niepodobna było nie zwrócić uwagi na te szyldy. Przedewszystkiem powiedzieć należy, że w doborze barw gumi-guta przeważała stanowczo; — widocznie była ulubioną farbą nieznajomego malarza. Na niepewnem tle brudno-złocistego pejzażu, upstrzonego zielonemi plamami, naśladującego drzewa, stał mężczyzna w humorystyczno-poważnej postawie tak żywo, jak gdyby go ar-

sztucznem, negacyą i przeszkodą nam stawianą. My uwzględniamy prawa narodowości włoskiej i nie wydzieramy Włochom tego, co dla nas skarbcem najświętszym. Włosi zresztą nie dla siebie pracują, ale nad otwarciem wrót niemczyźnie, stale wzmagającej się w Tryeście“

* * *

Petersburski „*Swiet*“ pisze o kwestyi czeskiej i jej znaczeniu europejskiem:

„Czechów jest obecnie 8 milionów, ale znaczenie tej liczby okoliczność ta podwaja, że lud czeski jest oświecony najbardziej, celów swoich świadomy i gotów wszystko każdej chwili poświęcić dla dobra narodu. Lud czeski, świadom tej siły, jest czynnikiem, który zaważy kiedyś na szali wypadków europejskich.

„We walce ze zachodem i wschodem, która prędzej czy później wybuchnie, Czesi są czynnikiem ważnym, siłą ogromną i decydującą o losach Słowian zachodnich.“

* * *

„*Katoliczka Dalmacija*“ pisze:

„Wśród stronnictwa t. zw. „Obzoraszów“ rusofilizm zyskuje coraz to zagorzalszych przeciwników. Dawniej utrzymywał się on w nieokreślonych i niczem nie ujętych fantazyach, których nikt za złe marzycielem nie brał. Dziś atoli występuje już w programie konkretnym we formie różnych wniosków, które nietylko, że sprawie słowiańskiej żadnego nie przynoszą pożytku, ale nawet szkodzą, gdyż dają przeciwnikom naszym broń do ręki.

„Niefortunny stawili wniosek w sejmie dalmatyńskim w Żaborzu posłowie Bekotic i towarzysze, domagając się wprowadzenia nauki języka rosyjskiego, jako przedmiotu obowiązującego we wszystkich szkołach średnich dalmatyńskich.

„Wniosek atoli co było rzeczą łatwą do przewidzenia, upadł, gdyż wystąpiła przeciw niemu większość posłów słowiańskich ze zasłużonym Klaiczem na czele...“

K.

BADANIA NAUKOWE.

Szkice antropologiczne.

(*Mały rozwój studyów nad szamaństwem pierwotnem. — Szamani mogli drogą empiryczną dojść do posiadania wielu praktyk duchowych. — Praca Hoffmana. — Różne kategorye szamanów. — Różnica jest natury psychologicznej. — Wnioski.*)

Socyologia pokonała mnóstwo trudności: zerwała ze staremi dogmatami filozoficznemi, które podrywały jej istnienie w samym rdzeniu, bo zaprzeczały przyczynowości we wzajemnem powiązaniu zjawisk społecznych; poradziła sobie z przesądami, twierdzącemi, że po za obrębem naszej cywilizacyi istnieją wszędzie tylko bezrząd i swawola, otrząsnęła się nawet z tak głęboko zakorzenionych wierzeń, że dzisiejsza forma własności stanowiła od początku podwalinę życia gromadzkiego. Temu powszechnemu postępowi nie uległa pewna dziedzina stosunków w rozwoju kulturalnym ludzkości — pierwotnego kapłaństwa. Niepodobna powiedzieć, ażeby spoczywała ona odłogiem zupełnym. Nie! Możemy wskazać nawet parę dzieł, poświęconych temu przedmiotowi. Spencer podjął go w swoim systemie filozofii syntetycznej, poświęcając mu tom cały, ale niestety, poglądy jego są na wskroś, już nie powiem opaczne, lecz powierzchowne, przedewszystkiem zaś zaprzątają się rozwojem samej instytucyi craz hierarchii kapłańskiej i żadnego światła nie rzucają na psychologię pierwotnych kapłanów. Lippert swoje studya nad tym przedmiotem zawarł aż w dwóch tomach i również nie rozwiązał i nawet nie dotknął zasadniczego zagadnienia: badaczowi niemieckiemu także szło tylko o hierarchię kapłanów, lecz nie o wejrzenie w ich duchowość. W nauce pozostały jeszcze całkowicie poglądy wojującego liberalizmu, który utrzymywał, że wszystkie wierzenia są wynalazkiem szarlatanów, ceremonie zaś — zwykłem kuglarstwem. Co do pierwszych, t. j. pojęć i wierzeń, zgodzono się wreszcie, że stanowią one płód konieczny i naturalny umysłu ludzkiego, przystępującego dopiero do odcyfrowania olbrzymiej księgi, którą nazywamy przyrodą. Tem samem oczyszczono poniekąd przedstawicieli rodzącego się kapłaństwa od zarzutu, że świadomie kłamali. Ale zrobiono to tylko częściowo. Bo co do obrzędów szamańskich, zaklęć, środków leczenia, proroctw, pozostało w całej mocy dawne uprzedzenie. Szaman — to oszust, który świadomie obełgiwa swoich współrodaków na każdym kroku; kłamie mową, kiedy udaje, iż jest w natchnieniu proroczem, kłamie czynem, gdy pielęgnuje chorego, lub rzuca się w opętaniu fałszowanem.

Kto jednak, nie bacząc na to apryorystyczne rozstrzygnięcie kwestyi, weźmie się do poszukiwań źródłowych i zacznie troskliwie a drobiazgowo notować każdy szczegół z życia szamanów i zapisywać szczupłe wzmianki, tu i i owdzie spotykające się o dziedziczności psychologicznej w rodzie czarodziejów, kto będzie przypatrywał się ich fizyognomii, one gardząc fakcikami, chociażby wyglądały nie błaho, ten zostanie odrazu uderzony kilku rysami, które przedstawiają tę postać życia pierwotnego w świetle osobliwem. To cała kopalnia anomalii psychologicznych, kopalnia zaiste pouczająca i ciekawa! Szaman, będący z urodzenia naturą „psychiatryczną“, zanim rozpocznie swoją praktykę, uprzednio usuwa się, niekiedy na całe lata, ze społeczeństwa, z którem zrywa wszelkie stosunki, żyje w odludnem ustroniu, uprawia krańcową wstrzemięźliwość płciową, pości i jednocześnie drażni swoje ciało narkotykami, ćwiczy swojego ducha w zadumie i prawdopodobnie w samohypnozie, a zarazem zaprawia się do swej roli. Pod tym względem posiadamy fakty bardzo wymowne, które dowodzą, że czynności naszego organizmu, odbywające się niezależnie od naszej woli, mogą być poddane tresurze i odpowiednio, że tak powiem wyszkolone. Szaman może dowolnie wywoływać na swojem ciele tak zwaną „gęsią skórkę“, prostym aktem swojej woli podnosić liczbę uderzeń pulsu lub ją zmniejszać. Niekiedy nowicyat, trwający przez długi przeciąg czasu, polega na takiem stopniowem opanowywaniu przez wolę wielu czynności: pustelnik przyucza się oddychać jednem tylko, lub drugiem nozdrzem, to kolejno obydwoma i łykać powietrze w długich lub krótkich przerwach. Wzięliśmy parę przykładów, ilość ich moglibyśmy pomnożyć znacznie. Jestem wprost przeświadczony, że jako psychologowie-praktycy, te postacie pół obłąkane, pół-rozklekotane nerwowo posiadają większy zasób wiedzy empirycznej, aniżeli ten, jakim rozporządza nauka tegoczesna. Niepodobna zaprzeczyć, że wraz z rozwojem filozofii nowożytnej, usiłującej przełożyć ducha na język materyi i życie psychiczne rozpatrywać jako szczególny ruch drobinek tej ostatniej, zaniedbano niektóre objawy duchowe i nawet niedowierzano im (jak to wi-

---

tysta w chwili, kiedy miał upaść unieśmiertelnił. Mężczyzna ów, w jasno-bronzowym paltocie, rozpiętym, z pod którego wychylały się klapy niezdecydowanej barwy surduta — ale z ulubionym odcieniem w kamizelcie białej w żółte kwiatki, których nazwać nie potrafiłby z pewnością sam Linneusz — w jasnych spodniach w paseczki, trzymał laseczkę, jak to mówią, delikatnie i wskazywał na drzwi, niby zapraszając. Dodać muszę, że mężczyzna ten, nosi żółte bokobrody i miał cerę twarzy żółtą. Wszystko to byłoby jeszcze niczem, wobec postawy i wyrazu oczu tego eleganta. Malarz usiłował koniecznie przedstawić na szyldzie dandysa, ale troszeczkę przecholował i zrobił karykaturę w humorystycznej pozie, że niepodobna było wstrzymać się od śmiechu patrząc na niego. Aktor, któryby pragnął wystudyować typ i ruchy żydowskiego modnisia, przebranego w suknie europejskie, na ulicy Święto-Krzyzkiej znajdzie wśród szyldów krawieckich bogactwo nieprzebrane. Ów złocisto-rudy elegant Aronka miał właściwą żydom arogancyę i minę człowieka szukającego sposobu zaimponowania i zwrócenia na siebie uwagi.

Drugi szyld był kopią pierwszego — tylko w innej barwie.

Gdy dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed oświetlonem oknem, spostrzegli w głębi, jakby umyślnie chowającą się postać Aronka, ozdobioną długą, siwą brodą. Twarz jego mignęła raz, drugi, trzeci — znikała w głębi, ukazywała się powoli z boku, jak gdyby Aronek nie chciał być widzianym. Manewr ten Zyzio spostrzegł.

— Wejdźmy... — szepnął Janek.

— Poczekaj... niech on nas zaprasza — mitygował Zyzio. — Niech się jemu nie zdaje, że my tak bardzo chcemy coś kupić; mniej zedrze.

Janek uśmiechnął się.

Pozostali jeszcze chwilkę. Zyzio jakąś kamizelkę umyślnie palcem pokazywał — potem pomalеńku ruszyli.

Ledwie drzwi sklepu Aronka minęli, nagle otworzyły się one z łoskotem i ze środka magazynu, jak pająk zaczajony, wyleciał subjekt sklepowy, rzucił bystre spojrzenie na wszystkie strony, ażeby się przekonać, czy nie ma policyanta, a potem obiema rękami za poły młodzieńców pochwycił i na miejscu osadził.

— Panie... panie... jaśnie panie! Niech panowie zajdą, może co się podoba?... Proszę... bardzo proszę...

Zyzio odważniejszy odezwał się:

— Cóż to znowu takiego — rzekł niby oburzony — chwytać za poły przechodniów...

— Za poły? Nu? Dla czego za poły? Przepraszam jaśnie pana, może panowie czego potrzebują?

— Możesz tu fraka dostać — wtrącił Zyzio, spojrzawszy na kolegę.

— Tak...

Żydek kłaniał się z taką samą miną, jaką miał protoplasta jego na szyldzie Aronka.

— Nu, proszę, proszę... frak jest,.. sto fraków,.. tysiąc fraków pan dostanie... Przecież magazyn Grünfelda zna cała Warszawa...

Mówiąc to poufale brał pod ramię Janka i Zyzia po kolei i do sklepu zawracał. Sam Aronek stał w otwartych drzwiach, gładząc całą garścią brodę, i chociaż nie wiedział o co chodzi, krzyczał jednak zachęcająco:

— Proszę panów... proszę... jest, jest... wszystko jest...

Na tę wrzawę, jaka się zrobiła, wszystkie sklepy z ubraniem męzkiem z najbliższego sąsiedztwa, jako też z przeciwka otworzyły się, a we drzwiach ukazały się głowy subjektów. W tem do uszu ich doleciał wyraz „frak“, nic więcej nie potrzeba im było. Wszyscy ruszyli naraz do jednego punktu i półkolem otoczyli Janka i Zyzia.

— Proszę do mnie, do mnie... tu zaraz... — krzyczał pierwszy, który na placu stanął.

O nic więcej nie pytając, ciągnąć począł Janka.

— Nu? Co ty ciągniesz? Niech kupiec sam idzie... — mitygował inny.

— Do Grünberga proszę jaśnie pana... u Grünberga zawsze Guczo... nu, ten Guczo, co z koniami skacze, u nas zawsze...

dzimy n. p. w somnabulizmie i innych). Tymczasem tam, w dzikiej, a fanatycznej samotni, na podkładzie mistycznego pojmowania przyrody, władze ducha bywają ćwiczone systematycznie, stany nienormalne doprowadzone do ostateczności, z uszczerbkiem dla zdrowia ciała i nawet umysłu. Powszechnie podają, że szamani na starość tracą wzrok; doktor medycyny, etnograf J. G. Bourke, czyni uwagę, że przyczyną ślepoty jest nieustające podniecenie nerwowe, odzywające się jak najfatalniej na całym organizmie. Hypnotyzm, któremu nauka dopiero niedawno udzieliła dyplomu prawowitości, tak mało zbadane stany tak zwanej cerebracyi nieświadomej, różne objawy panowania woli nad funkcyami organizmu, posiadającemi siedlisko swoje w systemie nerwów sympatycznych, wszystkie te tak podejrzane ćwiczenia bywają tam rozwijane i na szeroką skalę praktykowane. Nawet wśród najniższego szczepu, australczyków, spotykamy się z usypianiem hypnotycznem. W Indyach włóczęgi niekiedy uwodzą dzieci angielskie: widocznie hypnotyzują je i poddają im rozkaz, ażeby okradały rodziców. Dzieciak, pozbawiony swojej woli, wyciąga z domu, co tylko zdoła i niesie swemu duchowemu władcy. Naturalnie, przypisuje się to oczom uroczym i oczarowaniu. Sądzę, że studya systematyczne nad temi osobami, wykolejonemi z normalnego życia duchowego, bezwarunkowo naprowadziłyby naszych psychologów na niejedno wdzięczne zagadnienie. Zresztą, wskazówki te zwykle szczupłe. Szaman bynajmniej nie należy do gadułów, lubiących paplać o sobie. Przy obecnem zetknięciu się naszej kultury z pierwotną, jest to postać, zachęcająca rodaków do oporu i kryjąca troskliwie przed nieproszonymi najezdnikami zarówno swoje praktyki i umiejętność, jako też wierzenia, których jest piastunem. To też praca W. J. Hoffmana o „Wielkiem towarzystwie szamańskiem u odżybujów“*) stanowi nader cenny przyczynek do naszej znajomości psychologii pierwotnego kapłaństwa. Uczony ten jest na utrzymaniu fundacyi smithsonowskiej i idąc za wzorem Morgana, żyje wśród plemion czerwonoskórych, celem poznania ich zwyczajów. Udało mu się dotrzeć do tajnych związków, uprawiających okultyzm i zebrać mnóstwo materyału. Ogłosił swoje spostrzeżenia w rocznikach waszyngtońskiego biura etnograficznego, monografia zaś jego, lubo dotyczy jednego tylko plemionka, rzuca światło poważniejsze na to zaniedbane pole życia społecznego, aniżeli olbrzymie prace Spencera i Lipperta.

*) The Midewiwin, or Grand medicine-society of the Ogibway.

Przedewszystkiem po raz pierwszy z całą wyrazistością dowiadujemy się, że istnieją bardzo odmienne kategorye szamanów, prócz których są jeszcze tak zwani znachorzy, będący znawcami roślin, korzonków i płodów i zajmujący się leczeniem. Są to nasi lekarze w stanie zaczątkowym, nieokrzesani, ale nie należą oni do szamanów i nie przedstawiają wybujałości tresury duchowej. Po za tem istnieją u odżybujów aż trzy kategorye czarodziejów. Hoffmanowi udało się nawet określić, w jakim stosunku ilościowym znajdują się tego rodzaju grupy. Plemię owo zawiera do półtora tysiąca członków, z liczby tej w związku szamańskim midów znajduje się około stu plemieńców. Jest to w gruncie rzeczy towarzystwo okultystyczne. Prócz tego w plemieniu mamy pięciu jessakajdów i dwóch wabanów. Najciekawszym z całego opisu jest nacisk, z jakim wspomniany etnograf podnosi tę okoliczność, że nie każdy może zostać szamanem tej lub innej z pośród ostatnich kategoryi. nie zależy to bowiem od dobrej woli, ale trzeba na świat przyjść już z pewnemi szczególnemi właściwościami. Pierwszej podniety zwykle dostarczają sny: jeśli one bywają w ciągu pewnego określonego rodzaju, naówczas młodzieniec zostaje wciągnięty odpowiednio do tej lub innej kategoryi, która sama poszukuje takich pomazańców na swoich następców. Powrót snów tej samej lub pokrewnych kategoryi stanowi więc dla szamanów pewną wskazówkę, świadczy niejako o istnieniu pewnych uzdolnień fizyologicznych, które „wywołują stósowne stany duchowe podczas bezwładności sennej. Wabenowie są, jak wyraża się Hoffman,“ firedealers, tj. czarodziejami od ognia. Główna właściwość zasadza się na bezkarnem pogrążeniu ręki w ukrop, lub na trzymaniu rozpalonych do czerwoności kamieni. Jak wiadomo, próby, czynione w Europie, dowiodły, że jeśli ręka jest czysta, to bez niebezpieczeństwa może pogrążać się na chwilę w płynną masę żelaza. Fakty więc i właściwości, przypisywane tej kategoryi szamanów, nie są niemożliwością, idzie tylko o długość podobnego doświadczenia. Niestety, Hoffman pod tym względem niedostarcza wskazówek, co najwyżej wolno mniemać, że pewne osoby mogą przedłużyć próbę ogniową po za granice, właściwe organizmowi normalnemu. Jessakajdy znowu spełniają czynności prorockie i jasnowidzące. Z niektórych szczegółów godzi się dorozumiewać, że umiejętność wpadania w stan somnambuliczny doprowadzili oni do wysokiej doskonałości, że w tem uśpieniu następuje u nich wyładowanie cerebracyi nieświadomej z właściwemi temu stanowi podnieceniem objawami. Warto zaznaczyć, że szamanom tej kategoryi czerwonoskóry przypisują mnóstwo uzdolnień, któremi nasi spirytyści obdarzają swoich cudotwórców; związany postronkami jessakajd w oka mgnieniu strząsa z siebie więzy; kiedy skrępowany zostanie ukryty w namiocie, to szałas zaczyna się chwiać, z niego zaś wychodzą różne dźwięki. Wreszcie organizacya trzeciej kategoryi, midów, jest wprost mysteryami natury spirytystycznej. Dostęp do tego związku mają wszyscy plemieńcy, ale kandydat musi przejść przez obrzęd wtajemniczenia. Kiedy zaś dostanie się do mysteryi, jeszcze przechodzi przez szczeble hierarchii, zanim pozna wszystkie tajemnice. Niepodobna wdawać się w opis szczegółów, towarzyszących temu dopuszczeniu do związku. Winniśmy jednak podkreślać ich charakter, nawskroś przypominający seanse. Odbywają się one w półświetle, istnieje coś w rodzaju łańcucha, są kierownicy, arcykapłani związku i zarazem medya: przedmioty same niby się poruszają, puste worki się nadymają i czołgają.

Nie towarzyszymy Hoffmanowi w drobiazgach, niezmiernie ciekawych a dotyczących strony obrzędowej, ponieważ leżą już po za granicami niniejszego artykułu. Praca etnografa fundacyi Smithsonowskiego wykazała, że to, co uważamy za kategoryę jednolitą, składa się z kilku odłamów wyspecyalizowanych, co większa, każdej takiej grupie odpowiada szczególny podkład psychiczno-fizyologiczny. Zręczność i kuglarstwo, oraz tresura duchowa podnoszą te właściwości przyrodzone lub nadają im wygląd psychiatryczny. Na czem różnica ta polega, jakie postacie przybiera, te i innej pokrewnej natury pytania są przedwczesne. Sumiennie zbadanego, materyału, popartego przez odpowiednie studya w naszej kulturze, nie posiadamy, zawierzać zaś pierwszej lepszej opowieści, chociażby powtarzała się wielokrotnie, nie mamy powodu, a nawet prawa, bo by to nas mogło zaprowadzić na manowce. Zaznaczamy tylko, że badając psychologię szamanów, fetyszerów i innych mistrzów filozofii pierwotnej, spostrzegamy pomiędzy nimi przedewszystkiem dwa typy odmienne, jeden, który ćwiczy wolę swoją w kierunku zewnętrznym, tj. oddziaływania na innych i poddawania im rozkazów: drugi zaś, wprawiający się w odbieranie takich poleceń. Pierwsi — to nasi „magnetyzery“, z którymi da się może połączyć parę postaci ze świata przesądów naszego ludu: „oczy urocze“ — cioty rzucające czary na kogoś itd. Praktyki tego rodzaju są pokrewne z usypianiem hypnotycznem, a raczej z poddawaniem myślowem.

Drugi typ bierny, może należałoby jeszcze rozpołowić na takich, którzy ulegają rozkazom z zewnątrz przychodzącym i wpadają w szczególny stan duchowy, oraz innych, tracących zwykłą świadomość pod wpływem własnej woli, niekiedy wzmocnionej działaniem mechanicznem

---

— E... e... niezawracaj kontramarki

— U niego za pozwoleniem dla lokajów spodnie kupują...

— A do ciebie hrabowie chodzą? co?

— Pewnie... Niech pan do Grünfelda... pofatyguje się.

— No, chodźmy do Grünfelda... tu najbliżej — zawyrokował Zyzio.

Ledwie Janek i Zyzio zdołali nawrócić do sklepu, na ulicy powstał nagle wybuch gwałtownej łajanki w żargonie żydowskim; obrzucano się obelżywemi wyrazami chwilkę, a potem wszyscy rozchodzić się poczęli do sklepów — spokojnie.

Na progu swego sklepu powitał wchodzących Aronek.

— Czego panowie sobie życzą?

Zyzio zaczął politykować.

— My właściwie dążyliśmy spokojnie do swego krawca, u którego się ubieramy.

— Do jakiego, jeżeli wolno pytać?

— Do Szwarcgelbera.

Aronek skrzywił się, jakby octu pokosztował.

— Szwarc—gel—be—ra?... Za pozwoleniem, ale u mnie takiej tantedy nie ma...

Pragnąc jednak od razu przystąpić do rzeczy, zapytał znowu:

— Czego panowie sobie życzą?

— Ten pan — rzekł Zyzio, pokazując Janka — potrzebuje fraka!..

— Kupić czy pożyczyć?

— Pożyczyć... na dzisiejszy wieczór tylko...

— Można.

Icek, ów subjekt sklepowy, który Janka i Zyzia na ulicy przytrzymał, skoczył jak szczupak w bok i gwałtownym ruchem począł ściągać z wieszadła fraki, przerzucając je na lewe ramię, a kiedy już miał tego dosyć, zamaszystym ruchem na stół cisnął. Podniósł potem jeden, strzepnął, a trzymając w powietrzu palcami obu rąk, rzekł:

— Niech pan ten przymierzy... to jest dopiero frak!...

Zaczęło się mierzenie — ten za krótki, ów za długi, ten za ciasny, tamten zą wolno leży. Wreszcie znalazł się odpowiedni.

— Ten jak ulany... — zadecydował Aron.

Janek niezupełnie w to wierzył; doświadczał wrażenia, że go ktoś za plecy ściska — robił więc ruchy, jakby się pragnął z niepotrzebnych uścisków uwolnić. Aron gładził go po plecach.

— Nu, co pan chce? Doskonale leży.

— Za ciasny, może pęknąć — zauważył Zyzio.

— Co ma pękać zaraz? A jak będzie wolniejszy, to nie może pęknąć?

— Juźci... ale jeżeli pęknie, to pan sobie każesz płacić za to.

— A jak pan chce, ażeby nie płacić?

Wreszcie znalazł się frak, który zadowolnił wszelkie wymagania Janka.

— Co pan weźmiesz za wieczór? — zapytał Zyzio, który odgrywał rolę człowieka bardzo doświadczonego.

— Pięć rubli — odrzekł spokojnie Aronek.

— Co panu Pan Bóg dał? — krzyknęli naraz we dwa głosy koledzy. — Cóż to? pierwszy raz frak pożyczać, czy co? Chodźmy do naszego Szwarcgelbera — zawyrokował Zyzio.

Janek frak ściągać począł, Aron pomagał mu; ujął, złożył i na ladzie umyślnie położył osobno. Robił to wszystko ze spokojem człowieka, znającego naturę ludzką.

— Nu? Pan myśli, że Szwarcgelber da daremnie?

— Nie da, ale też i zdzierać nie będzie.

Wyraz „zdzierać“ zadrasnął trochę miłość własną Arona.

— Zdzierać? nu? aj waj! — rzekł lekceważąco. — Co tu zdzierać? Na co zdzierać? Z kogo zdzierać?

Wreszcie skierował się wprost do Zyzia, który grał pierwsze skrzypce:

— Ile pan da?

— Pięć złotych — odrzekł Zyzio rezolutnie.

— Fiu, fiu, fi! I to pieniądze.

Przy tych słowach wziął znowu frak do ręki, za obydwa rękawy podniósł wysoko do góry tak, że wszystkie jego linie zarysowały się wyraźnie w powietrzu i rzekł spokojnie:

dreszczami, wpatrywaniem się w kryształ górski itd. Zdaje się, iż różnorodność w tym zakresie jest bardzo wielka i że zasadniczą podstawą jest nietylko uśpienie hypnotyczne, ale inny stan duchowy, mało jeszcze zbadany, chociaż powszechny wśród mistyków, a pokrewny transowi medyów: polega on na dreszczach konwulsyjnych, przyćmieniu normalnej umysłowości i żywiołowem wyładowywaniu się cerebracyi nieświadomej. Są to prorocy, wyrocznie, znachorzy, jasnowidzący. O tym przedmiocie wyszła świeżo książka, z którą niebawem poznajomimy czytelników. Hoffman do tych kategoryi dorzucił jeszcze czarodziejów od ognia.

Zdaje się zatem, że zawód szamanów przedstawia dobór szczególnych usposobień. Nasze domy dla obłąkanych, kuglarze, medya spirytystyczne, histero-epileptycy — oto punkty wytyczne, pomiędzy którymi wahają się natury, uprawiające praktyki szamańskie i będące mistrzami kunsztu czarodziejskiego.

L. Krzywicki.

Wychowanie i szkoła.

Z pola walki pomiędzy realizmem a klasycyzmem o szkołę wyższą w Prusiech.

(Ciąg dalszy.)

Na polu moralnego wychowania urządza klasycyzm nieskończone spustoszenia przez to, iż wywyższa pogańskie ideały starożytnego świata kosztem chrześcijańskich ideałów nowszych czasów. Już ta bowiem okoliczność, iż na polu moralnego pouczenia zadawalnia się ogólnikami o tem, co dobre i piękne, a nie wskazuje, w czem w naszych obecnych stosunkach tego dobrego i pięknego szukać należy, sprawia zamęt w ucznia umyśle. Nauki zaś, które o istocie dobrego i pięknego znajduje w swoim Platonie i Cyceronie zwiększają tylko ten zamęt. Albowiem greckie *„agatos“ i „arete“* i łacińskie tus mają zupełnie inne, etycznie o wiele niższe znaczenie niż nasze „cnota“ i „dobry.“ Co zatem uczeń o tych pojęciach znajduje w swych klasykach, to nie stosuje się do pojęć, wpojonych weń od dzieciństwa na innej drodze i odwrotnie. Przez to zaś powstaje circulus vitiosus, którego następstwem u myślącego młodzieńca jest przyćmienie i przytępienie jego całej wewnętrznej istności.

Ale nie dość na tem. Klasycyzm toruje wprost drogę materyalizmowi, usuwając chrześcijaństwo na plan drugi i wysławiając jego kosztem materyalistyczno-estetyczne ideały starożytnego świata. Gdzie zaś zagnieżdża się materyalizm, tam pojawia się w też tropy brat jego mleczny, pessymizm. Ztąd też pochodzi, iż nasze klasy wykształcone przejęte są na wskroś straszliwą chorobą nowoczesną. Ba, nawet on nieszczęsny rozdział społeczny pomiędzy klasami wykształconemi a ludem ma po części swe źródło w systemie wykształcenia, praktykowanym po naszych gimnazyach. Tu bowiem wmawiają w ucznia od najpierwszej młodości, iż ucząc się łaciny i greckiego jest czemś lepszem i doskonalszem niż wszyscy, którzy do tego nie mają sposobności. Ztąd też pochodzi, iż często sekstaner na swego ojca, prostego rzemieślnika, patrzy z niejakiem zarozumieniem, ponieważ ten nie deklinował mensa i nie tłumaczył Mundus est rotundus i Lupus est bestia, a bardzo częstemi są przypadki, iż niedoszły kwartaner czuje się za nobliwym do rzemiosła, ponieważ czytał Neposa. Tym sposobem klasy wykształcone i masa narodu duchowo poczynają iść obok siebie i faktycznie niewielu tylko wykształconych rozumie lud, a wśród ludu równie rzadkiemi są jednostki, które rozumieją wykształconych. Ten brak łączności duchowej jest zaś mianowicie w czasach obecnych wielce niebezpieczny. bo utrudnia niepospolicie wyrównanie uzasadnionych i nieuzasadnionych przeciwieństw pomiędzy nimi na polu społeczno-politycznem.

Wyłącznie skutkom wychowawczym klasycyzmu poświęcona jest druga rozprawka Alethagorasa. Wychodzi on z tego spostrzeżenia, iż wbrew pieniom pochwalnym, rozbrzmiewającym na cześć idealizującego wpływu studyów klasycznych w życiu duchowem młodzieży gimnazyalnej pojawiają się coraz częściej objawy przerażającego upadku. Jak to sobie wytłumaczyć? Czyby studya klasyczne nie miały mieć tej siły idealistycznej, jaką im w powszechności przypisują!

Autor daje krótki pogląd na drogi, jakiemi studya klasyczne doszły do swego obecnego stanowiska w Niemczech. W czasach najniższego upadku politycznego i moralnego, około połowy ubiegłego stulecia, były one klasom wykształconym narodu niemieckiego rodzajem religii, która ze swym, po części niejasnym kultem humanitarności powołaną być się zdawała do tego, aby im zastąpić miejsce dawnych, obumarłych form, oraz religijnej samowiedzy. Ale czasy zmieniły się na ich niekorzyść, odkąd jako współzawodniczka studyów klasycznych wstąpiła w szranki nowoczesna wiedza. Ona to bowiem przenika dzisiaj nasze czucie i myślenie i zapładnia swym tchem ożywczym nasze działanie. Zarzuty wszakże, jakoby rozwój nowoczesnej wiedzy był zgubą idealizmu, są niesłuszne. Wytworzył bowiem z siebie i nowoczesny rozwój umysłowy swe właściwe ideały i to ideały, które o całe niebo przewyższają ideały, przekazane nam przez starożytność. Powtarzając zaś do znudzenia, iż ideałów tylko w starożytności szukać należy, wyświadcza szkoła młodzieży naszej tylko nader wątpliwą przysługę. W czasach bowiem, kiedy nawet starodawne pojęcia o tem co złe a co dobre, chwiać i mącić się poczynają, kiedy fale walki naukowej, politycznej i społecznej idą tak wysoko, iż nieraz cały dotychczasowy dorobek cywilizacyjny, zdaje się zakwestyonowanym, najgłówniejszem jej zadaniem powinno być oddanie w służbę cywilizacyi jak największego kontyngensu ludzi, którzyby z idealnym sposobem myślenia łączyli jasne pojęcie faktycznych stosunków teraźniejszości.

Ani jednego, ani drugiego powiedzieć nie można o gimnazyum klasycznem. Owszem wywołuje ono w umysłach młodzieży, pieczy swej powierzonej, niejakie zobojętnienie wobec idealnych zadań teraźniejszości. Podstawą bowiem naszej obecnej świadomości moralnej jest pojęcie „człowiek,“ które pomimo przeszkód, jakie rozwój jego napotyka, stanowi już dzisiaj punctum saliens naszego cywilizacyjnego rozwoju. To zasadnicze pojęcie było starożytnemu światu tak dobrze jakby zupełnie obce. Natomiast wydoskonalił świat starożytny pojęcie „obywatel,“ a cała jego etyka była dostosowana jedynie do tego pojęcia. Myślący i czujący młodzieniec, któremu od najwcześniejszych lat wpajają przekonanie, iż starożytność była czasem najwznioślejszych ideałów i któremu na nieskończoną niższość jej moralnego czucia i myślenia filologowie nigdy nie zwracają uwagi, przychodzi w ciężki konflikt z pojęciami etycznemi, wpojonemi mu przez życie i niemal wyssanemi z mlekiem macierzyńskiem. Czytając bowiem w swym Ksenofoncie, Tucydidesie, Cezarze, Tacycie o brutalnych gwałtach i bezdennych nikczemnościach, jakich w starożytności mógł sobie pozwalać mocniejszy względem słabszego, zwycięzca względem zwyciężonego, pan względem niewolnika, jest skłonny widzieć w nich tyleż pogwałceń prawa naturalnego, podczas gdy w rzeczywistości nie są one niczem innem, jak naturalną konsekwencyą zapatrywania podstawowego, podług którego interes państwa, t. j. klasy panującej jest jedynie racyonalną zasadą rozsądnego działania.

Niesłusznym jest także zarzut, jakoby wiedza dzisiejsza sama przez się prowadziła do materyalizmu. Tak zwany materyalizm nie jest bowiem jakąś osobną formą choroby, ale jednym z licznych symptomatów wewnętrznego zabolenia duszy społecznej. Nie może on też zatem wyleczonym być jakiemś specificum, ale jedynie przez to, iż wyczerpanej duchowo ludzkości w miejsce dawnych, obumarłych ideałów

---

— Niech pan patrzy... za taki frak pięć złotych? Niech lepiej leży!...

Rzucił frak na ladę.

— Za pięć złotych kelnerskiego fraka pan nie dostanie... co to cały za pozwoleniem łojem śmierdzi, a ten jak złoto.

Znowu frak do rąk pochwycił i kręcił nim przed oczyma Janka.

— Niech pan nie żartuje... od czego nie będzie?

— Pięć złotych — rzekł Janek.

— Da pan dwa ruble?

— Pięć złotych — twierdził z pewnym uporem Zyzio.

— Półtora nie będzie?

— Nie.

— Rubla nie będzie?

— Nie.

Aron uchwycił frak i gwałtownie do rąk Janka wcisnął.

— Niech pan zdrów tańczy...

Janek zapłacił pięć złotych, frak wciągnął a mundur zostawił. Aron obejrzał starannie mundur, głową kiwał spostrzegłszy, że jest wytarty na łokciach i pod pachami, wreszcie rzekł z rezygnacyą:

— Niech już tak będzie...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

M. Schoepp.

AFRODYTA.

Tłom. z niemieckego F. i H.

Bez zaprzeczenia było to najwybitniejsze dzieło sztuki tegorocznej wystawy. Artysta-rzeźbiarz, dotąd zupełnie nieznany stał się sławnym w przeciągu jednej nocy. Dawano mu sumy bajońskie — wydzierano sobie jego autografy — piękne panie nasyłały go wonnemi liścikami. Mieszkanie jego, znane dotąd jedynie wierzycielom i małej liczbie przyjaciół, stało się nagle punktem zbornym koryfeuszów sztuki. Jakżeż można było zapoznać taki geniusz! Czy istotnie już częściej wystawiał? I dzieła jego nie znalazły nabywców? Nie do uwierzenia!

Krytyka nawet pomijała go milczeniem. Teraz wszakże śpiewała mu hymny pochwalne i stawiała go w rzędzie najwybitniejszych wybrańców muzy.

Kuryerki i dzienniki zamieszczały jego życiorys w najdrobniejszych szczegółach. Nazywano go „artystą z bożej łaski“, „ukochanem dzieckiem muzy“, „wybrańcem geniuszu“ i t. d. Świat wydał więc nowego mistrza, lecz nikt nie mógł się poszczycić odkryciem nowej gwiazdy. Trzy tygodnie już „Afrodyta“ wystawioną była w „Salonie“ — a najdziwaczniejsze pogłoski krążyły o mistrzu, który rozstać się nie chciał z swem dziełem. Pewnego dnia zamieszczono nad posągiem kartkę z lakonicznym napisem: „Sprzedane.“ Niebawem dowiedziano się, że za bajeczną sumę kupił „Afrodytę“ ks. Wernikoff — artysta zaś zobowiązał się, nigdy nie odtworzyć kopii dzieła swojego. Kilka dni zajmowano się jeszcze artystą i jego dziełem — wkrótce jakaś sławna awanturka stała się dla mieszkańców wielkiego miasta „l'affaire du jour.“ Tylko książę Wernikoff cierpliwie piął się po niewygodnych schodach do atelier młodego artysty, by z nim porozmawiać o „Afrodis“ greckiej.

Książę Wernikoff była to postać wspaniała o dumnem, klasycznem czole, delikatnie wyrzeźbionych rysach, z których przebijała głęboka cześć dla własnego „ja.“ Broda jego, przyprószona siwizną, kryła despotyczny zakrój ust — postrach sług i podwładnych. Wyraz ten wybitniej jeszcze malował się w wyniosłem spojrzeniu jego siwych oczu, — młody artysta zawdzięczał dotychczasowe względy tego pana z panów jedynie mistrzowskiej piękności swego dzieła. Gdy książę za trzecią wizytą objawił

życiowych wskazuje się nowe. Do tego zaś kompletnie niezdolna jest filologia, będąc sama w sobie gałęzią wiedzy obumierającą. Natomiast odświeżenie i duchowe odrodzenie dla spragnionej nowych ideałów ludzkości wyjść może tylko ze strony nowoczesnej wiedzy, której ognisko tworzą nauki matematyczne i przyrodnicze.

Wiedza ta nie stoi w żadnem a żadnem przeciwieństwie z idealizmem, a nauki przyrodnicze bogate są w elementa, które prawdziwego wieszcza natchnąć byłyby zdolne do twórczości poetycznej. Ba, nie zbywa im nawet na pierwiastkach, z których poczucie religijne doznać by mogło wielkiej podniety. Ztąd też pochodzi, iż wielcy badacze przyrody, Newton, Kepler, Leibnitz, Laplace, Zoellner, Wallace, a nawet ów zniesławiony i spotwarzony Darwin byli przejęci głębokiem religijnem uczuciem. Ze zaś obecnie wielka część naszych „wykształconych“ z lubością biegnie za owemi „badaczami“, którzy wśród ogłuszającego zgiełku trąb i kotłów po rogach rynków i ulic ogłaszają swą wiedzę, temu nie winna nauka przyrodnicza, ale brak sądu o rzeczach przyrodniczych w naszej publiczności, który ich oddaje na pastwę pierwszego lepszego szarlatana. Niechby tylko młodzież po naszych szkołach wyższych otrzymała gruntowniejsze wykształcenie przyrodnicze, a skargi na materyalizujący wpływ nauk przyrodniczych z pewnością wkrótce by zamilkły.

Jeżeli wszakże chce się wychować młodzież do spełnienia tych idealnych zadań, które nowoczesna cywilizacya na nią wkłada, natenczas podług rady Victora Hugo i naszym szkołom wyższym nawrócić należy do niespożytego źródła wszelkiego idealizmu, do chrześcijaństwa. Nie wynika ztąd wszakże bynajmniej, jakoby należało pomnożyć w gimnazyach ilość lekcyi, nauce religii wyznaczonych, gdyż i tak już katechizmu, dogmatyki, historyi kościelnej uczą w nich raczej za wiele niźli za mało, lecz należałoby w sercach młodzieży już od najwcześniejszego wieku budzić większy szacunek względem chrześcijaństwa i świadomość nieskończonej wartości cywilizacyjnej, jako ona posiada. Tego zadania niestety nie spełnia należycie gimnazyum klasyczne i spełniać go nie może, ponieważ głównem jego zadaniem jest wysławianie starożytności. Pomiędzy starożytnością zaś a chrześcijaństwem leży przepaść, której nie wyrównały lat tysiące i nie wyrównają drugich lat tysiące. Zatem też wysławianie jednego odbywać się może tylko kosztem drugiego. Ztąd więc pochodzi, iż gimnazyum nasze podobne jest do dawnej świątyni pogańskiej, która przemienioną została na kościół chrześcijański: widać w niej krzyż, widać chrzcielnicę, słychać pieśnie nabożne wśród dźwięku organów, ale duch, który wieje z całości budowy, jest wcale odmienny. Chrześcijaństwo w naszych gimnazyach jest jakoby gotycka rozeta na doryjskiej świątyni, bo uczeń słyszy w nich przeważnie zachwycone pochwały starożytności, obeznaje się z zbytkiem i wspaniałością jej zewnętrznego życia, z jego literaturą i sztuką, tchnącemi lubieżnością i zmysłową rozkoszą, ale nigdy nie dowiaduje się o tem, iż temu zachwalanemu starożytnemu światu nie dostawało zupełnie tego wysokiego pojęcia, jakie my obecnie mamy o wartości i godności człowieka i że owocem tego niedostatecznego pojęcia było straszne niewolnictwo, a w Rzymie jeszcze straszliwsze gladyatorstwo, że przeważnie zmysłowe pojmowanie stosunku obudwóch płci do siebie było powodem niegodnego stanowiska kobiety i innych zboczeń zmysłowych w starożytności, że w ogóle na podstawie tych wszystkich stosunków wyrosła rozpaczliwość politycznego i społecznego położenia szerokich mas ludowych, z którego wyzwoliło je dopiero chrześcijaństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Po młodych.

Młodości szały!
Podniebne dążenia!
Wyście — tak drżące języki płomienia
W górę strzelają po suchej topoli —
Chciały zapalić ten świat przestarzały,
Co zakamieniał przy taczce niewoli,
Waszemi sny — ideały.

Próżne marzenia,
Daremne zapały!
Topoli próchno chwycą ognia szały
I blask rozsieją płomiennemi kity;
Ten świat zgrzybiały ma czoło z kamienia,
Nieporuszony jako Alp granity —
Skała nie chwyta płomienia.

W wieków powodzi
Już pokoleń tyle
Pragnienia wielkie złożyło w mogile.
O! pamiętajcie wy, że słońce nowe
W grozie zniszczenia z nawałnic się rodzi;
Trud marny, zgniłą podpierać budowę,
Trzeba — zgruchotać ją, młodzi!

Niech legnie w pyle! —
Nowe drzewa rodzi
Las, choć mu dęby łamiąca przechodzi
Burza nad głową wśród piorunów błysku.
Spuścizna wasza — złote jutra chwile;
Hej! nad padoły, ciemnych mgieł siedlisko,
W młodzieńczej wylećcie sile!

Wam szaleć trzeba!
Wam do gwiazd ramiona,
Gdzie sił człowieczych wszechpotęga kona,
Za niepochwytnych mar wyciągać rojem!
Niewolnik ten, co rad z niewoli chleba —
Niech zgina kark — o! młodzi, wy przebojem
Rozłamcie wrzeciądze nieba!

Hej! wznieście czoło!
Hej, rozwińcie skrzydła
Ponad tej ziemi ułudne mamidła,
Co barw tysiącem błyskają w dolinie,
A z wyżyn jasnych, gdzie, szerokie koło
Tocząc, król ptaków po niebiosach płynie,
Nikną w tumanach padołu.

St.

Witold Pruszkowski.

(Sylwetka)

Było to w końcu lata, czy też z początkiem jesieni 1875 roku.

Wpada do mnie Maryan Gawalewicz i mówi: wiesz jest dobry interes do zrobienie. Kleczewski*) wyjeżdża z Krakowa i chce na gwałt sprzedać „Djabła“. Możesz go nabyć bardzo tanio i podnieść. Z pismem już się zżył Kraków, więc powodzenie jego prawie zapewnione. Oprócz „Szkiców**) będziesz miał drugą broń w ręku.

*) Arkadyusz Kleczewski, redaktor „Kuryera Świątecznego“ w Warszawie, ożeniony z prawosławną, emigrował z Królestwa, aby dzieci wychować w religii katolickiej. Założył i redagował „Djabła“ w Krakowie. Zmarł we Lwowie przed kilku laty.

**) „Szkice społeczne i literackie“ wychodziły moim nakładem i pod moją redakcyą od 1 stycznia 1875 do 1 lipca 1876. Było to wówczas jedyne pismo w Krakowie, nie zarażone stańczykostwem. Choć prowadzone w kierunku umiarkowanym — wobec jednak wszechwładzy skrajno-konserwatywnego stronnictwa, uchodziło za skrajno postępowe.

życzenie ujrzenia żywej „Afrodyty“, — Eryk Brown bynajmniej nie przeczył jej istnieniu.

„Więc ona w istocie żyje?“ — metaliczny głos księcia zadrżał wzruszeniem.

„Oczywiście, Ekscelencyo. — Gdybym jej nie znał, ta bogini z pianki morskiej nie wyszłaby nigdy z pod mego dłuta.“

„Lecz któż ona? i gdzież się znajduje?

„Kim jest? kobietą, a raczej dzieckiem uroczem, nie posiadającem nic, prócz łachmanów i tej boskiej piękności. Potknąłem o nią pewnego wieczora na schodach. Tam bowiem usnęła, szukając ochrony przed deszczem. Sąsiad mówił mi, że uciekła przed macochą, i wolała raczej umrzeć, niż do niej powrócić — a więc wziąłem ją do siebie.“

„Ona tu?!“

„Ma się rozumieć, Ekscelencyo. Czy Jego ks. Mość pragnęłaby ją zobaczyć? — Rosa? — Rosa! — Otóż i ona.

Urocza główka, otoczona aureolą złotych loków ukazała się we drzwiach — lecz w tej samej chwili znikła.

„Ona taka nieśmiała, rzekł Eryk — sam po nią pójdę.“

Artysta wybiegł, a Ekscelencya patrzał niecierpliwie na drzwi, rychło ukaże się w nich złota główka dziewczęcia. W przyległym pokoju słyszał przytłumiony głos artysty, płaczliwą odpowiedź Rosy... — i weszli.

„Ona się boi, Ekscelencyo. — Bądźże rozsądną, Roso! Nic ci się nie stanie.“ — i śmiejąc się, pociągnął zmieszane dziewczę pod wielkie okno. — Otóż „Afrodyta.“

Książę Wernikoff skłonił głowę przed dzieweczką, jak przed damą swego świata. Podprowadził ją do wielkiego fotelu i prawie nieśmiało dziękował za wyświadczoną łaskę. Eryk spoglądał zdumiony, widząc jego zachowanie pełne szacunku wobec tego zakłopotanego, płaczącego niemal dziecka. Jedynie powaga księcia i zachwyt, malujący się w jego oczach powstrzymywał go od szczerego śmiechu. Wernikoff nie mógł bowiem oderwać wzroku od uroczego zjawiska. A gdy Rosa pod zmyślonym pretekstem opuściła pokój, dumny Moskal zwrócił się z wyniosłem spojrzeniem ku artyście, mówiąc: „Zabieram ją z sobą.“

Na te słowa zbudziło się coś, co drzemało dotychczas na dnie serca młodzieńca. „Rosa? mój model?!“

„Pardon, nie model. Gdym kupował „Afrodytę“ przyrzekłeś Pan, nigdy nie odtwarzać kopii. Ja sam chcę ją posiadać! Słyszysz, Pan? — Nikt nie jest godzien i nie odważy się z pewnością rywalizować z księciem Wernikoff. Dziewczę podoba mi się niezwykle, — a więc zabieram ją do Petersburga.“

„Nie, Ekscelencyo, tego nie zrobisz?“ — Książę patrzał na niego zdumiony, z szyderczym uśmiechem na ustach: „Powiedziałem — a więc tak być musi.“

„Myślę, Ekscelencyo, że ani Pan, ani ja nie mamy prawa rozporządzać jej losem. Wybacz, Ekscelencyo, byłby to gwałt, niczem nieusprawiedliwiony. Jestem pewien, że Rosa nigdy nie zgodzi się na propozycyę Jego ks. Mości“

Lecz w chwili, gdy to mówił, jakaś niewytłomaczona bojaźń wkradła mu się do serca. Z obawą pomyślał, że może przyjdzie mu się rozstać z tą czarującą istotą, że jej nie zobaczy, że już nie usłyszy jej rozkosznego szczebiotu i srebrnego śmiechu. Bo i cóż mógł jej ofiarować? Garść łakoci — w zamian za przykre, dotkliwe słowa. Czemużby propozycya księcia nie miała jej przypaść do gustu?

Twarz księcia pokryła się lekkim rumieńcem — górna warga zadrżała — a lśniące zęby i stalowe oczy zabłysły hamowanym gniewem. „Mniemam, rzekł wyniośle, że pańska „Afrodis“ nie odrzuci nazwiska i ręki ks. Wernikoff,

Eryk skamieniał. Uczuł naraz dotkliwy ból w sercu i zamęt w głowie.

„Ekscelencyo! — —“

„Zrobiłbyś mi Pan wielką przysługę, uprzedzając ją o zmianie, mającej nastąpić w jej losie. Ona uważa Pana za przyjaciela — a więc, proszę, bądź mi swatem.“

Skinął mu niedbale i wyszedł. Po jego odejściu Eryk długo dumał, zapatrzany w pierwszy szkic „Afrodyty.“ Tak się przyzwyczaił do obecności dziewczęcia, że i przypuścić nie mógł,

Niebardzo mi ta propozycya przypadła do gustu. Zgodziłem się na nią jedynie ze względu na Gawalewicza, który sądził, że „Djabeł“ ułatwi mu egzystencyą. Piórem jeszcze wówczas nie zarabiał, żył z korepetycyi, a życie to niezbyt wesołe, zwłaszcza gdy się samemu jeszcze trzeba uczyć i myśleć o egzaminach...

— Wszystko to pięknie, mój Maryanie, — rzekłem, — ale pomyśl sobie, że mając na głowie „Szkice, nie mogę się oddać „Djabłu“ jakby należało...

— Ja cię we wszystkiem będę wyręczał. Czynność administracyjną biorę na siebie — napiszesz co dwa tygodnie kilkadziesiąt wierszy i na tem koniec twego zajęcia. Byłem już u Bałuckiego i Sabowskiego — obaj przyrzekli współpracownictwo...“

— A któż będzie nam rysował?

— I o tem już pomyślałem. Idę zaraz do Szkoły Sztuk pięknych dla porozumienia się z Picardem. Obiecał mi sam rysować i namówi do rysowania, którego ze swoich kolegów...

Nabyłem więc „Djabła“. Różowe jednak nadzieje Gawalewicza nie sprawdziły się. Po kilku miesiącach opuścił on Kraków i Technikę, na którą uczęszczał, wezwany przez Szymanowskiego do „Kuryera Warszawskiego“. Cały ciężar redakcyjny i administracyjny spadł wyłącznie na moje barki. Dostarczanie humoru na termin sprzykrzyło mi się, zwłaszcza, iż lgnąłem więcej do „Szkiców“, dla których czułem coś w rodzaju miłości rodzicielskiej. Kłopoty z administracyą, która bardzo umiejętnie prowadziła rubrykę wydatków, a pieczołowicie ukrywała dochody, dopełniły miary niezadowolenia. To też z niekłamaną radością powitałem propozycyą odstąpienia „Djabła“ i zakończyłem mój pierwszy dłuższy bieg z przeszkodami na torze humorystyki.

Z czasów redagowania „Djabła“ pozostało mi tylko jedno przyjemne wspomnienie. Dzięki mu zapoznałem się z Witołdem Pruszkowskim, który z L. Picardem prowadził przez kilka miesięcy część illustracyjną pisma. Rysunki, wychodzące z pod jego ołówka, a raczej pióra, choć lekko, szkicowo, rzucone były na papier, choć brakowało im wykończenia, którego zresztą od takich rysunków się nie wymaga, choć często były niemiłosiernie „puszczane“, a profanom wydawały się „habrotami“, miały jednak tyle w sobie charakterystyki, tyle humoru, tyle artystycznego rozmachu, iż gdzieindziej zwróciłyby odrazu uwagę na niepospolity talent rysownika.

Jeden zwłaszcza rysunek stoi mi wyraźnie w pamięci. Pisano i mówiono wówczas wiele o kandydatach na namiestnika po śmierci Gołuchowskiego. Wyliczano różne nazwiska, mniej lub więcej wybitne. Prosiłem więc Pruszkowskiego, aby narysował Galicyę jako przekupkę, mającą różny towar do wyboru. Pruszkowski ustawił za straganem babę, sprzedającą jarzyny; leżały na straganie głowy kapusty, brukwie, dynie, ogórki. Formy ich przypominały rysy kandydatów. Najświetniejszą była kapusta: liście jej tak się ułożyły, że dawały doskonały portret pewnej osobistości, marzącej o fotelu namiestnika. Na pierwszy rzut oka nikt tego nie dostrzegł, ale wpatrzywszy się, widziałeś nietylko twarz, ale odczuwałeś i wady człowieka: zbyt wielką pewność siebie, napuszoność, arogancyę. Drobnemi środkami wykonał rysownik prawdziwą satyrę.

A nie wyglądał on bynajmniej na satyryka. Był to w jednej osobie typ ładnego panicza, a zarazem tęgiego kozaka. Twarz o regularnych i delikatnych rysach, włosy krótko strzyżone, układające się w grzywkę nad czołem, ładne blond wąsiki, półuśmiech prawie nigdy nie schodzący z oblicza, oczy pełne głębokiego wyrazu z pewnym melancholicznym odcieniem, głos ładny, dźwięczny, ale nie mogący zmusić do posłuszeństwa litery *r* z francuzka wymawianej, — oto były części składowe panicza. Ale skojarzyły się z niemi czerstwość twarzy, żywość ruchów, zamaszystość całej postaci. Już wobec tego znikał panicz, a nie zostawało z niego prawie śladu, kiedyś rzucił okiem na wysokie buty młodego artysty, na jego burkę z kozacka przykrojoną, na pas skórzany i barankową czapkę. Widziałeś wtedy przed sobą mołojca, który jakby świeżo zeskoczył ze „szybkiego konia“, na którym „rozigrawszy myśli używał swobody i z wiatrem ukraińskim puszczał się w zawody“. To też Witold Pruszkowski wśród kolegów i przyjaciół nie był ani Witoldem, ani Pruszkowskim, lecz kozakiem. I to nietylko na gruncie krakowskim, ale jeszcze w Monachium. „Widziałem kozaka — byłem w pracowni kozaka — a niech go djabli, jak ta bestya kozak maluje!“ — tak się zawsze mówiło pomiędzy „swoimi“.

I choć rubaszne, dobre było to określenie: niech go djabli, jak ta bestya kozak maluje! W ustach kolegów było ono wyrazem i pewnej zazdrości i najwyższej pochwały. Każdy nowy obraz, pojawiający się na wystawie, jest zawsze pomiędzy malarzami przedmiotem sporów: jednym się podoba, drudzy z armat krytyki do niego strzelają. I obrazy Pruszkowskiego wywoływały rozmaitość zdań i uwag, ale zawsze kończyło się na owem: niech go djabli! Jeden widział błędy rysunkowe, drugi nie zachwycał się tem a tem, trzeciego drażnił zbytni realizmu, czwarty zarzucał brak wykończenia, ale bądź co bądź, wszyscy zgadzali się na jedno: niech go djabli! Benedyktowicz dodawał jeszcze! „pycha“.

„Pycha“ Benedyktowicza miała już swoją przeszłość i swoje uzasadnienie. Kolegował on z Pruszkowskim w Monachium, przypatrywał się przeto jego początkom, śledził jego postęp, widział jak się rozwijał jego talent, był świadkiem pierwszych jego sukcesów. Pruszkowski przybył do Monachium z Paryża, gdzie pierwszym jego nauczycielem rysunków był Tadeusz Górecki, zięć Mickiewicza. Uczył się naprzód pod kierunkiem Struchubera i Anschuetza. Ten ostatni, kierownik oddziału rysunków węglem z natury, zachwycony był swoim uczniem; rysunki jego wieszał jako wzory w swojej sali wykładowej, mówił, że prostotą środków przypominają mu dawną świetną szkołę malarską. To też na wystawach szkólnych co każde półrocze brał Pruszkowski medal za medalem. Na kurs malarstwa zapisał się do prof. Wagnera. Pierwszemi jego studyami były typy żołnierzy bawarskich.

Dość czasu upłynęło zanim wszedł w stosunki koleżańskie z młodzieżą polską, studiującą w Monachium. Urodzony w Odessie, gdzie mieszkał do 14 roku życia, przebywający następnie z rodzicami stale w Paryżu, mało miał styczności z rodakami i nie był wogóle przyzwyczajony do życia koleżeńskiego. Potrzebę jego odczuwał, ale nie wiedział jak się wziąć do tego...

Należał do uczniów pilnych, a jako taki w porozumieniu z bedelem zostawał często w szkole podczas godzin południowych, kiedy nie było wykładów. Bedel zamykał sale, a Pruszkowski pracował nad studyami. Podobna pilność napadała czasem i Benedyktowicza. Zdarzyło się więc raz, iż obaj byli zamknięci, każdy w innej sali — drzwi jednak między salami były otwarte. Obaj się mieli za niemców i nie zbliżali do siebie. Benedyktowicz nie zwracając uwagi na „niemczurę“ zanucił sobie głośno piosnkę Komorowskiego:

„W dzikim stepie zawierucha.. “

Pruszkowski zjawił się w progu „To kolega Polak?“ — zawołał z radością. Zaznajomiwszy się z Benedyktowiczem, wszedł w grono Polaków, a piosenka Komorowskiego jest mu do dziś dnia nad wszystkie ulubioną.

Benedyktowicz opowiada dość ciekawy szczegół monachijski do charakterystyki Pruszkowskiego, tyczący się radykalnej przemiany jego pojęć estetycznych. Ojciec Pruszkowskiego, człowiek zamożny i wykształcony, przebywał za młodu w towarzystwie ludzi, uwielbiających klasycyzm i niechcących uznać zwycięstwa romantyzmu. Wrażliwy jego umysł nasiąkł temi po-

---

by ktoś śmiał mu wydrzeć ukochaną Rosę. Uważał ją za swoją własność, a jednak przyznał przed chwilą, że nie miał prawa rozrządzać jej losem. — Księżna Wernikoff — Ekscelencya. — nie, tego nie odrzuci. Stroić się będzie w perły, które namiętnie lubi — toż to ozdoba godna „Afrodyty.“ Będzie najpiękniejszą kobietą petersburskiej elity — i zadowolni w zupełności ambicyę księcia-małżonka. Serdeczni przyjaciele dostąpią zaszczytu oglądania „Afrodyty“ — przy tej sposobności dowiedzą się może o nazwisku artysty. Otrzyma wtenczas wiele zamówień — a zadowolni to może ambicyę niejednej pięknej damy, gdy umieści w swym buduarze własny posąg — dzieło jego dłuta. A Rosa — nie, — Jej książęca Mość — wspomni go czasem w murach wspaniałych pałaców. Snem będzie dla niej ów czas ich krótkiej przyjaźni, gdy nieraz głód jej dokuczał, a lada błyskotka sprawiała jej szczerą, prawdziwie dziecinną radość. Być może, iż jej już nigdy nie zobaczy — otoczona rojem wytwornych wielbicieli, prędko przywyknie do nowego trybu życia, a wspomnienie biednego artysty, niebawem zatrze się w jej pamięci. Westchnął cicho i zwolna się udał do przyległego pokoju. Był bardzo blady, gdy stanąwszy przed Rosą pomyślał, że uszczęśliwić drugiego ofiarą własnego szczęścia — to jednak rzecz bardzo trudna. Ona siedziała przy oknie z główką, lekko pochyloną na poręczy krzesła. Powitała go uśmiechem, nie patrząc mu w twarz, lecz na ochrypły dźwięk jego głosu zerwała się wystraszona.

„Usiądź! rzekł surowo, mam ci coś do powiedzenia.“

Usłuchała natychmiast, jak dziecko, które zasłużyło na karę. Przyszło jej bowiem na myśl, jak dziką była wobec obcego pana. Bo jakżeż gniewnie wyglądał Eryk! jak groźnie zbliżał się ku niej — inaczej, jak zwykle — z marsem na czole, nie z uśmiechem i pieszczotą. Oczy dziewczęcia napełniły się łzami, usteczka zadrżały. — „Proszę, nie gniewaj się Pan, — już się będę starała... —“

Spoglądał na nią zdumiony — wskazał jej fotel i sam ceremonialnie usiadł naprzeciw.

„Chciałem bowiem, Roso — urwał zakłopotany — słowa uwięzły mu w gardle. Jej smutna twarzyczka tak go oczarowała, że już nie myślał o przedmiocie rozmowy. Nie mógł oderwać wzroku od tej wymarzonej bogini i sprawiało mu to tajemną, nieopisaną rozkosz, widząc, że twarzyczka jej coraz ciemniejszym pokrywała się rumieńcem, — że jedwabne rzęsy opuściły się na jej gwiaździste oczy. Nie wiedział, jak się to stało, ale pochwycił ją drżącą w ramiona, pokrywając namiętnemi pocałunkami jej boskie usta i oczy. Mówił słowa bez treści i związku, — i prawie nie śmiał odychać, gdy jej ramiona oplotły nieśmiało jego szyję. — Zuchwałość szczęśliwca wstąpiła w niego — osunęła się z jego ramion — a on ukląkł, jak przed bóstwem.

„Roso! — Afrodyto! — Ty wcielenie miłości i piękna, czy chcesz być mą żoną?“

Myślała, że to sen.

„Pozostać przy mnie na wieki, osładzać mi życie, — czy chcesz?“

Skinęła, ukrywając główkę w jego ramionach.

Gdy Ekscelencya stawił się wieczorem po swą, jak mniemał, własność, powitała go czarującym ukłonem; zarumieniła się jak dzika różyczka, lecz w oczach jej migotały błyskawice szczęścia.

„Nie mogę iść z Panem — rzekła — oto mój narzeczony!“

Jego Ekscelencya niedbale złożył jej życzenia szczęścia, Eryka zaś zmierzył lodowatem spojrzeniem, — a biedne dziewczę pojąć nie mogło, że dumny magnat nie dzielił jej szczęścia.

— Szkoda jej, pomyślał Wernikoff, udając się w godzinę później na *five o'clock* do hrabiny R.

Nazajutrz zaś posłał jej w darze posąg „Afrodyty.“

jęciami i zachował cześć dla zwyciężonych. Osiński był dla niego bożyszczem, tłomaczenie Iliady Dmochowskiego arcydziełem, rozpływał się nad „Ziemiaństwem“ Koźmiana, a utwory Greków i Rzymian były dla niego ostatnim wyrazem piękna. Wpływ ojca na syna musiał być silny, kiedy Pruszkowski z ironią wyrażał się o romantyźmie, miał odwagę przyznawać się, że nietylko nie zna utworów największych jego przedstawicieli, ale nawet nie jest ich ciekawy. Dokuczali mu więc koledzy monachijscy, docinali, nazywali go antykiem, wykopaliskiem z czasów przedchrześciańskich. Ale ta ciągła walka na słowa, dowcipy i ucinki, zrobiła swoje. Pruszkowski postanowił zapoznać się z tymi, których lekceważył, aby lepiej odparować cięcia koleżeńskie. Wziął się więc do czytania „Pana Tadeusza“. Zaczął go czytać z uprzedzeniem, czytał dalej ze spokojem, później z przyjemnością, w końcu z zapałem z uwielbieniem, z zachwytem, ze łzami. Nie jadł, nie spał, nie rozbierał się nawet, a czytał. W jednym dniu porzucił starych bogów i ukląkł przed nowymi. Przez parę tygodni oderwał się od pracy i rozpoczął kwerendę po kolegach za utworami poetów plejady Mickiewiczowskiej. Najwięcej rozkochał się w Słowackim, a miłości tej dawał wciąż wyraz w czasie całego swego artystycznego zawodu. Z czterech jego ostatnich pasteli, które mu na wystawie lwowskiej zdobyły najwyższą nagrodę, dyplom honorowy, dwie są illustracyami Anhellego, a trzecia jest w bliskiem z nim pokrewieństwie, bo przedstawia pochód na Sybir...

* * *

Świetne rozpoczęły się czasy dla krakowskiej szkoły malarskiej z chwilą zapisania się do niej Pruszkowskiego. Była ona niedawno zorganizowana, a więc choć w jej planie istniał na papierze oddział kompozycyjny, nie mógł wejść w życie, bo młodzież jeszcze nie przeszła wszystkich kursów. Był więc oddział kompozycyjny i nie było go. Kilku ukończonych malarzy, którzy w tym czasie zjechali do Krakowa, postanowiło dać przykład innym i naradziwszy się z sobą, poszli do Matejki z prośbą, aby mogli zostać jego uczniami. Malarzami tymi byli: ukończony uczeń akademii wiedeńskiej Bronisław Abramowicz i ukończeni Monachijczycy: Ludomir Benedyktowicz, Hipolit Lipiński, Leon Picard, Witold Piwnicki i Pruszkowski. Kiedy przy zapisywaniu się każdy z nich dla formy przyniósł kilka swoich studyów, Matejko przeglądając je, zwrócił się do profesorów Cynka i Szynalewskiego, mówiąc: „Chodźcie panowie, a zobaczycie tak piękne studya, jakich zapewne oddawna nie widzieliście“. I pokazywał im studya Pruszkowskiego, powtarzając: co za talent, co za talent!

Szkoła malarska krakowska nie miała jeszcze wówczas, tak jak dziś, swej własnej, pańskiej na oko siedziby, lecz zamieszkiwała „kątem“, częścią w gmachu Instytutu technicznego, częścią w przytykającym do niego budynku uniwersyteckim, mieszczącym w sobie laboratorya chemiczne. Ale sprawdzało się tutaj przysłowie o tej sukni, którą zdobi sam człowiek. Skromna, nie mająca własnego dachu nad sobą, rozlewała szkoła krakowska przez lat kilka silny blask w około, dzięki swoim uczniom i swemu dyrektorowi. Sława Matejki, jako artysty, była wówczas wielka, może największą, bo promieniami jej były: „Kazania Skargi“, „Rejtan“ i „Unia“, a wszystko, co później genialny malarz stworzył, utrwalało tę sławę, ale już jej podnieść nie mogło. Wady zaś Matejki jako dyrektora, nie były jeszcze wówczas znane, a więc nie stronił od szkoły krakowskiej żaden większy talent, nie uciekali uczniowie z niższych kursów za granicę, owszem, za przykładem wyżej wymienionych, ci, co nawet ukończyli w pełni swe studya po za krajem, dążyli jeszcze z różnych stron do Krakowa, aby zdobyć sobie nazwę ucznia Matejki i przyczynić się do rozgłosu szkoły krakowskiej. Po opuszczeniu szkoły przez Pruszkowskiego i jego kolegów, widziano w oddziale kompozycyjnym nietylko takich wychowańców szkoły krakowskiej jak Malczewski, Pochwalski, Koniuszko, Hermisz, Mroczkowski ale i takich ukończonych artystów, jak Wyczołkowski, Gottlieb, Fałat, Piotrowski, Zmurko, Buchbinder. Nie wyliczam ich następców, bo litania byłaby za długą, bo łatwiej byłoby spisać tych dziś znanych artystów, co nie byli w szkole krakowskiej za jej najlepszych czasów, t. j, w dziesięcioleciu między 1875 a 1885 rokiem.

Oddział kompozycyjny, za czasów Pruszkowskiego zajmował kilka sal na drugiem piętrze owego gmachu, mieszczącego w sobie uniwersyteckie laboratorya chemiczne, obok pracowni samego Matejki, zajętego wówczas malowaniem „Grunwaldu“. Pierwszą wadę Matejki, jako kierownika tego oddziału, odkryto zaraz na wstępie. Wielki malarz historyczny pragnął wszystkich porobić historycznymi malarzami, nie umiał ocenić natchnienia w innym kierunku. Kto sobie przypomina pracownie oddziału kompozycyjnego z owych, a nawet późniejszych czasów, ten potwierdzi, iż w każdej z nich prawie leżały stare zbroje, siodła husarskie, skóry tygrysie, buńczuki, lite pasy... Była to po prostu epidemia, której jedni padali ofiarą, a drudzy przychodzili dopiero do zdrowia w lecznicach monachijskich i paryzkich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. Bartoszewicz.

Piśmiennictwo naukowe i pseudonaukowe.

Löher. *Kulturgeschichte der Deutschen im Mittelalter.* 2 tomy. Muenchen 1891—1892 (str. 531, XI; 484, VI).

Autor oszczędza czytelnikowi pracy w szukaniu powodów, jakie zniewoliły go do napisania niewiadomo której z rzędu „Kulturgeschichte“ narodu niemieckiego, bo tłomaczy je nam na wstępie samym. Mimo to jednak po przeczytaniu dwu bardzo lekko, wcale nie po niemiecku, pisanych tomów — czytelnik przekonanym nie będzie o słuszności jego zapatrywań. „Co znaczy kultura? Kto potrafi określić ją całkowicie i ściśle? Dzieje rozwoju ludzkiego i ducha, dzieje rosnącego wciąż opanowywania sił przyrody, dzieje wykształcenia powszechnego, — wszystko to jest właściwem, o ile się rozpatruje dzieje rozwoju człowieka w ogóle, ale nie dzieje pewnego narodu. Tutaj praca taka obejmuje wszystko, całkowitą działalność społeczeństwa, prawa i państwa, religią, sztukę, literaturę i naukę, wyjąwszy wojnę i politykę zewnętrzną — a i te ostatnie nawet brakować nie powinny o ile wpłynęły na wewnętrzny lub zewnętrzny rozwój narodu... Przy budowaniu podobnego dzieła należałoby rozpocząć od naturalnego i koniecznego, od tego mianowicie, jak dany naród zdobywał pokarm, odzienie, mieszkanie, jak zaczął uprawiać rolę, rzemiosła, handel, jak przyswajał sobie podobne zdobycze u innych bardziej posuniętych pod względem cywilizacyjnym ludów, z jakich podstaw wyrosła obyczajowość, język, religia i prawo, jak wytworzyły się i ukształtowały rodzina, gmina i państwo... Prawdziwe dzieje kultury powinny mieścić w sobie wszystkie te składniki, ale w jednym szerokim prądzie, budując na nim pojedyńcze strony życia narodowego i rezultaty jego twórczej pracy.“ (p. III—IV). Ostatecznie zgodzić się można z autorem na plan podobny, lubo jest on tylko zewnętrznym powierzchownym szematem, który zakryć może i arcydzieło i pracę monachijskiego archiwisty. Nawet tyle ważna kwestya, jak kwestya metody dotknięta w nim nie została. Ale już na dalsze wnioski przedmowy zgodzić się nie można. Jeżeli bowiem czytamy w dalszym ciągu: „oczywiście zamiast trzech. należałoby napisać trzydzieści tomów; nigdy zaś nie mógłby ich napisać jeden człowiek — lecz trzydziestu, każdy obejmując jeden dział specyalny itd.“ — to protestujemy już nietylko dla tego, że w tym wypadku otrzymalibyśmy albo (w gorszym wypadku) niemożliwie wielką encyklopedyę, albo (w najlepszym wypadku) szereg oddzielnie pisanych monografii na specyalnie ad hoc ułożone tematy. „Historya umiejętności w Niemczech“, wydawana przez akadamię bawarską, jest podobnem przdsięwzięciem naukowem na szeroką założonem skalę. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie otrzymamy dziejów kultury, bo zatracimy oczywiście tę nić rozwoju, która łączy w harmonijną, organiczną całość ogniwa faktycznych zdobyczy w dziedzinie myśli i czynu, zatracimy świadomość owego indukcyjnego prądu, który zdobyczom owym nadaje cechy istotnego życia i ratuje je od skostniałego, od antykwarskiego katalogu, od lamusa historyi. Historya kultury nie wymaga ani współdziałania trzydziestu ludzi, ani trzydziestu tomów. Dwa tylko tomy obejmują „Dzieje kultury“ Lipperta — a niektóre, konieczne rozdziały wyjąwszy, jako słabsze, mają istotną i trwałą wartość w literaturze socyologicznej naszych czasów.

Wprowadziwszy do szematu swego poprawkę, ograniczył autor zadanie swe do przedstawienia „sposobu myślenia, rezultatów pracy naukowej, znaczenia prawa.“ Szczególne znaczenie przypisuje ostatniemu „prawo bowiem w państwie i w kościele, między sąsiadami, towarzyszami i krewnymi, prawo tyczące się nieruchomej i ruchomej własności jest, jak gdyby szkieletem dziejów kultury; za prawo chwyta każda reforma, dzięki prawu i przez prawo bywa najlepiej określoną i zrozumianą.“ Czy i to nie budzi wątpliwości? A skądże bierze swe powstanie prawo? Kiedy powstaje, albo ginie, czy jest wiecznem, niezmiennem, albo też zawsze zmiennem, ruchomem? I tutaj zdaje się należałoby historykowi kultury wejrzeć głębiej w strukturę społecznej budowy.

Zadanie autora w pojęciu jego rozpada się na trzy części. W pierwszej ma do czynienia z Germanami, jako takimi, z owym, jak chce silnie wybitnym, całe życie przenikającym na wskroś typem ludzkim („das tiefeingewurzelte Germanenthum“), o samoistnej kulturze, o oryginalnym światopoglądzie. W drugiej rozpatruje epokę frankońską — czasy, gdzie i kiedy ów wybitnie określony typ narodowo-społeczny przejmuje kulturę antyczną i chrystyanizm. Trzecia część obejmuje czasy rozkwitu miast, epokę, kędy wytwarzają się nowe podstawy dla istnienia i urządzenia państwa. Trzy części wymienione powiększają się jeszcze o dwie pośrednie: pomiędzy pierwszą i drugą przypada epoka wędrówki narodów, która nie pozostaje bez wielkiego wpływu na narody i plemiona germańskie; dwie drugie dzieli epoka niemieckich cesarzy, za których „dojrzewają ideały narodu“. Takie oto ramy zbudował sobie Löher dla obrazu swego. W nich wedle zakomunikowanego już powyżej planu, umieścił rozbitą na mnóstwo niewielkich rozdziałów (w pierwszym tomie 42, w drugim 38) treść życia średniowiecza niemieckiego. Referat o książce nie powinien stale oszczędzać czytelnikowi pracy odczytania jej: powinien albo zachęcić do tego, albo odstraszyć. Otóż zachęcać do pójścia śladami recenzenta nie mam poprostu odwagi. Można o kompetencyi swej jak najskromniejsze żywić mniemanie i mimo to z łatwością zauważyć, jak książki Löhera na wysokości zadania swego nie stoją, z rezultatami wiedzy historycznej się nie liczą. Jeżeli rozpatrzymy np. bardziej drobiazgowo rozdziały o ustroju rodzinnym u germanów, to bardzo szybko ignorancyę autora skonstatować będziemy mogli. Autor nie wie poprostu, co zdziałano w tym kierunku w ostatnich latach we własnej jego ojczyźnie, jakie nowe zupełnie widnokręgi otwarte zostały dla historyi niemieckiej. Czynią te rozdziały niekiedy wrażenie takie, jak gdyby długie lata czekały bez przeróbek na wydawcę. Jest to tem gorsze, że dzieło obliczone jest przedewszystkiem dla szerszej publiczności, która w tej formie najlepiej z ostatniemi zdobyczami nauki zaznajomićby się

mogła, a tymczasem zamiast istotnej wiedzy, otrzymuje luźne, często nawet źle dobrane notaty ze źródeł prawniczych lub historycznych. Nie chcielibyśmy czynić autorowi zarzutów z tego, że wyrzucił z dzieła swego odsyłacze do źródeł, z których korzystał, gdyż w książce popularnie pisanej nie szukamy aparatu uczonego. Sądzimy jednak, że od książki podobnej wymagać można, ażeby była ścislejszą, chociaż lekko pisaną. Gdyby autor mógł zrozumieć całą doniosłość prac Lamprechta i jego znakomitą, także dla szerszych kół obliczoną „Historyą niemiecką“ (dzisiaj 3 tomy, będzie 7), która w pojedyńczych tylko rozdziałach rozpatruje zjawiska kultury, to uznałby może nieudolność własnego dzieła. Jestto rzecz w literaturze zupełnie chybiona i zbyteczna.

Możnaby zapytać słusznie: — jeżeli tak, po cóż o niej pisać, i do tego u nas, którym tylko na wybitnych pracach Zachodu zależeć może? Zapewne. Zadając to pytanie, tem samem daję dowód, żem je samsobie zadawał. Są jednak powody poważne, dla których sądziłem, że pisać można. My (i to nie tylko my obecnie) posiadamy pewną bardzo zresztą szlachetną słabostkę do wszelkich „dziejów kultury“. Badaczy specyalistów posiadamy mało, a więc i świadomości dobrego i złego mieć nie możemy w stopniu dla oceny koniecznym. Często też owa sympatya dla prac „kulturalnych“ obraca się w czyn. Tłomaczymy byle co, z warunkiem, ażeby nazwisko autora nie było nieznane. Kiedy więc nazwisk uczonych zna się niewiele w tym sensie, że się ocenić umie, co ważą — wszystkie są jednakowo znane i wartościowe. Tłomaczymy wtedy prace takie, jak Leixnera, albo Karpelesa — niewiadomo dlaczego, niewiadomo poco. W literaturach, gdzie ruch podobnego misyonarstwa kulturalnego jest rozwinięty silnie (chociażby w Rosyi, gdzie tłomaczą prawie wszystko, co przychodzi ze Zachodu) nic to nie szkodzi, że obok pełnych ziaren napotkamy i plewy. Ale tam, gdzie jak u nas i w tym kierunku „twórczość“ kupiecko-wydawnicza ograniczać się musi budżetem najoszczędniejszego drobnomieszczanina — należy być ostrożniejszym w wyborze dzieł i uznawaniu za autorytety nazwisk, które oprócz spekulacyjnych pomysłów nie wydają nic, albo prawie tyle. Dla tego też sądziliśmy, że nie będzie zbytecznem zwrócić uwagę czytelników naszych na pracę Löhera.

Löher już nie żyje. Był dyrektorem archiwum monachijskiego, podróżnikiem i poetą. W żadnej jednak z tych dziedzin nazwiska nie zostawił. Czy zostawił przynajmniej przyjaciół — nie wiemy. Feliks Dahn we „Wspomnieniach“ swoich wyraża się o nim z wielkiemi zastrzeżeniami. Gdy zanurzył się, ażeby nie wypłynąć więcej, w Styksie zapomnienia, nie ukazało się na powierzchni wody żadne koło, — któreby stratę zaznaczyć mogło. W znakomitej „Deutsche Zeitschrift fuer Geschichtswissenschaft“ znalazłem krótką o nim wzmiankę pośmiertną, gdzie czytelnik tytuły dzieł i poematów Löhera odczytać może (r. 1892). Dat biograficznych nie przytaczam, gdyż nie zaliczam do obowiązków recenzenta oszczędzanie czytelnikowi czasu potrzebnego do odszukania odnośnej pozycyi w nowej encyklopedyi Meyera.*) *S. P.*

*) Kiedy recenzya powyższa była już napisaną, katalogi bibliograficzne pierwsze przyniosły wiadomość o mającym się ukazać 8 tomie „Dziejów kultury niemieckiej“. Pojedyńcze rozdziały tej pracy pośmiertnej były drukowane poprzednio w pismach peryodycznych — i stwierdzają tylko nasz wyżej wymieniony pogląd. Zresztą chodziło nam o stanowisko autora ogólne, socyologiczne i filozoficzne więcej, aniżeli o wypełnienie konturów ogólnego tematu materyałem faktycznym. I dla tego też recenzya tomu ostatniego staje się zbyteczną.

Raul Toché.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Szumowiny paryzkiego życia pochłonęły świeżo nową ofiarę. Raul Toché, jeden z najpopularniejszych wodewilistów, przeciął pasmo dni swoich, chroniąc się w tajemnicze au del przed ruiną materyalną i moralną. A jednak zdawałoby się, że fortuna wszystkiemi darami obsypała swego ulubieńca.

Toché odziedziczył po ojcu piękną majętność Croissy, oraz 800,000 franków, przytem matka-natura dała mu talent, który, oprócz popularności i sławy, przynosił przeszło 50,000 franków rocznego dochodu. Co prawda, czarnym punktem jego życia była „czarna“ żona, córka dyplomaty wysp Antylskich, która chłonęła w siebie życie europejskie z iście podzwrotnikowym temperamentem.

Państwo Toché prowadzili w zamku własnym iście królewskie train. Bajeczny przepych, „nadzwyczajne“ uczty i zabawy, ściągały tu ustawicznie tłumy wykwintnych gości. Samo towarzystwo gospodarza mogłoby stanowić siłę dostatecznie przyciągającą. Był to jeden z najdowcipniejszych ludzi we Francyi, posiadał humor i iskrzącą werwę galijską bez cienia złośliwości. Jego bon mots pobudzały do śmiechu najczarniej usposobionych hypohondryków. Nic też dziwnego, że feljetony i kroniki w pismach: „Echo“, „Gazette“, „Voltaire“, „Clairon“ były rozrywane. Największe tryumfy zyskiwały jednak doroczne „revues“ do spółki z Blum'em pisane, oraz szereg uciesznych wodewilow jak: „Pani Szatan“, „Zapach“, „Śmieszka“, „Paryż w końcu wieku“ i t. p. Toché, pomimo znacznych tantyem i dochodów nie mógł „związać końca z końcem“. Szalona żądza używania, gorączka złota i wymagania nadmierne żony, bawiącej się bez pamięci, skierowały go na drogę ryzykownych spekulacyi. Grał na giełdzie, tracił, zaciągał pożyczki, rujnował się lichwiarskiemi procentami, zastawiał przyszłą spuściznę synka dziewięcioletniego jedynaka, a stoczywszy się raz w pochyłość mętnych spraw, brnął coraz dalej i padł w końcu ofiarą szajki łotrów, która wyłudziła odeń fałszywe podpisy. Ostatnie lata były (według zwierzeń, pozostawionych w pośmiertnych papierach) mękami Tantala, szarpał się z wierzycielami, przed żoną ukrywał widmo hańby i ruiny do ostatniej chwili. W dzień katastrofy, wyznawszy wszystko po gwałtownej scenie domowej, pojechał do Chantilly i tam o godzinie pół do pierwszej w nocy, wszedł na zlodowaciały staw de la Reine, rozbił grubą powłokę i strzelił do siebie, zsuwając się równocześnie w toń wodną.

Indywidualność jego była na wskroś „paryzką“, to też i smutny epilog nadto wesołego żywota, stanowić może ilustracyę chwili, owego rozpasania egoizmu, zrywającego wszelakie moralne hamulce.

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

III.

„Walkę kobiet“ wystawiła scena poznańska w sobotni wieczór. Lubię tę duchem *empire'u* owianą komedyę, gdzie ludzie, mówiąc z Pawłem de Saint Victor, są jak owe kwiaty, które soki swoje z łona natury wyssały, których kielichy jednak ręka ogrodnika przez krzyżowanie sztucznie ozdobiła. Być może, że słowa te raczej do rokokowej epoki w literaturze przystosować można, ale tchnienie tego okresu przenika jeszcze francuzką literaturę w początkach bieżącego stulecia, a mianowicie na twórczości *Scribego* piętno swoje wyciska. Romantyzm prędzej zapanował w piśmiennictwie niemieckiem niż na ziemi Francuzów, i mimo przełomowych dzieł Rousseau'a, mimo utworów Chateaubrianda, zwiastujących emancypacyę natury, długo jeszcze powiew zmodyfikowanej „Marivaudage“ snuł się po scenie francuzkiej.

Jeżeli mówię: Lubię „Walkę kobiet“ — to nie dla tego, bym owemi kwiatami o sztucznie ubarwionych kielichach pragnął zagony literatury ojczystej przystroić, ale spowiadam się z sympatyi swoich jak artysta, który w surowem pięknie Wereszczagina i Uhdego cząstkę własnej duszy odkryje i w niemym zachwycie utonie, a za chwilę z uśmiechem zadowolenia pieścić się będzie cackiem z saskiej porcelany, rzeźbą Pigalle'a lub obrazem Wattcau. Jest w literackim artyźmie owej epoki urok igrających dzieci, którym przyszło na myśl naśladować parę młodą, idącą do ślubu, jest jakaś naiwność i rafinerya, wytworność i prostota, gra w chowanego i rumieńce na licach. Wielkich namiętności tam nie ma, a jeżeli gdzieś serce żywszem tętnem zabije, to burzy miotającej duszą nie zdradzą usta milczące. Ludzie lękają się głosu natury i wtedy nawet, gdy jakieś wielkie uczucie pierś im rozpiera, mówią w półtonach, w dyskretnej a wykwintnej formie, z lekkim uśmiechem na ustach. Grom zmienia się w akord silniejszy na klawiszach fortepianu, jęk w rzewny szmer liści, gdy wiatr łagodny w nich płacze. Zdaje się, że w tym świecie elementarna siła ludzkich instynktów zamarła, i nawet w chwilach dramatycznego naprężenia nigdy w duszy czytelnika lub widza nie kłębi się uczucie strachu lub grozy.

Gdym w wieczór sobotni spoglądał na scenę poznańską, wionęła ku mnie ta dziwna atmosfera XVIII wieku, lubo „Walka kobiet“ chronologicznie do innej już należy epoki. Ci ludzie, to zawikłanie, ten dyalog — to wszystko tchnie jakąś reminiscencyą ubiegłego stulecia, *empire* zrodzone z *rococa* i nie przeniknięte jeszcze potężnie elektrycznym prądem romantyzmu. Sam pomysł nastręczał temat obfity do dramatycznych kolizyi. Młody skazaniec polityczny, zagrożony rozstrzelaniem, ukrywa się w zamku francuzkiej magnatki w przebraniu lokaja. Zjeżdża sąd i wojsko, tropią za nim przez całe dwa akty, jak ogary za jeleniem w kniei, a kochające serca kobiece czuwają nad bezpieczeństwem młodzieńca.

Ileż wstrząsających momentów wysnuć można z takiej sytuacyi, jakież naprężenie wprowadzić do utworu, w którym dwie kobiety walczą o życie ukochanego i miecz Damoklesa wisi bezustannie nad głową skazańca. A jednak ani jednej chwili uczucie strachu w duszy tu nie gości. W najdramatyczniejszych chwilach doznawałem wrażenia, jakby gdzieś z za kulis jakiś geniusz uśmiechnięty wychylał się ku publiczności i szeptał: „Nie lękajcie się! to igraszka tylko.“ Ten zbieg pląsał sobie po scenie jak flirtujący młodzik na wakacyach, te kobiety drżały wprawdzie o życie kochanka, ale w akompaniamencie wdzięcznej filuteryi i subtelnej „causerie“, ten groźny prefekt mówił do nas głośno: „Rozstrzelam zbiega,“ — lecz po cichu kończył tę groźbę: „Kulą pomadkową.“ Jakaś wytworna swoboda i wesołość króluje w całym utworze. Hrabiny d'Autreval zazdrość nie pochłania, lubo przeczuwa chwilami zwycięstwo rywalki. I ani jednej minuty nie ogarnia widza ponura atmosfera złamanego serca, w której tak lubują się późniejsi pisarze francuzcy. Zwyciężyła młoda Leonja w boju o mężczyznę, ale na myśl mi nie przyszło powiedzieć bohaterce sztuki z Hamletem: „Idź do klasztoru, hrabino d'Autreval!“ Cóż? Wyjedzie do stolicy, westchnie kilka razy w karecie, a jutro zapomni i za mąż wyjdzie, — może za markiza o zajęczem sercu. Szczęśliwa epoka! Romantyzm nas pogłębił, ale zagasił uśmiechy na ustach i głowy ludzkie pochylił.

Zrozumiała Helena Modrzejewska ducha komedyi i stanęła przed nami od stóp do głowy *empire* — empire w każdym słowie i ruchu, empire w każdym szczególe tualety i kolorycie całości. Tu właśnie, gdzie natura jeszcze nie upominała się o prawa swoje, tu, gdzie

zwierzę ludzkie w człowieku nie odzywa się prawie nigdy, tu, gdzie finezya, elegancya, wdzięk zastępują namiętność i mroki prawdy życiowej, tu geniusz artystki naszej znalazł żywioł właściwszy dla twórczości swojej, niż w twardym realiźmie „Gniazda rodzinnego“. Nie nastręczała wprawdzie rola hrabiny d'Autreval sposobności do subtelniejszej analizy duszy ludzkiej, rozwinięcia tragicznej potęgi i wprowadzenia w ruch efektowny całego aparatu techniki scenicznej, ale odsłoniła nam artystyczne wcielenie pewnego stylu, przejęcia się duchem minionej epoki.

Jeżeli z takim naciskiem podnoszę zalety Heleny Modrzejewskiej w tym właśnie kierunku, to pragnę tem samem wyrazić, że „stylowość“ jest jednym z najrzadszych fenomenów na scenie. Dzieje się tam podobnie jak w wielu dramatach i romansach historycznych, gdzie ludzie występują w średniowiecznych zbrojach lub greckich tunikach, lecz całym zakresem swych pojęć i uczuć tkwią w najświeższych czasach. I na deskach widujemy często *rokoko* lub *empire* w tualetach i meblach, lecz ruchem, mimiką, dykcyą, całem ujęciem roli odbijają artyści od epoki owej i mimo przebrania, zdradzają ludzi nowoczesnych, świat małomiejski lub giełdę berlińską, zwiedzającą pałace Poczdamu. To też w grze Heleny Modrzejewskiej z radością powitałem charakterystyczne wcielenie minionego stylu, — witałem artyzm, który zrozumiał, że na wyżyny sztuki dramatycznej ten tylko wspina się szczęśliwie, komu nie talent jedynie, nie intuicya tylko za oparcie służy, lecz psychologia, historya i literatura nowych i dawnych okresów ludzkości.

Z prawdziwą przyjemnością zapisuję też nowy tryumf młodej artystki naszej, p. *Heleny Zimajer* w roli *Leonj*. Pomijając kilka za silnych akcentów aktu drugiego, była to kreacya o kolorach żywych a rzeźbiona dłutem lekkiem jak amorety XVIII stulecia. Za ten piękny objaw scenicznego talentu oklaskami wypowiedziała publiczność uznanie swoje, a poklask ofiarowany pannie *Zimajer* w tej samej chwili, gdy *Modrzejewska* stąpała po deskach, jest chyba najwyższą nagrodą dla artystki naszej.

Władysław Rabski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 29 stycznia.

Lisystrata. Nowy dyrektor Szkoły Sztuk pięknych. Miscellanea.

P. Stanisław Koźmian nienasycony jest w zdobywaniu sobie coraz innych laurów. Różnorodny jego geniusz przerzuca się z łatwością z pola na pole. Zaledwie w drugim tomie swej wiekopomnej „Rzeczy“ napisał ewangelię dla narodu, poruszając najważniejszą sprawę naszego bytu narodowego, zstąpił z kazalnicy politycznej w urocze krainy pornografii. Dzięki jemu, scena krakowska przedstawi dziś przerobioną przez niego „Lisistratę“ Arystofanesa. Jest rzeczą niemożliwą w przyzwoitych słowach opowiedzieć treść tego utworu, który był dobrym na czasy greckie, ale o dziesiątki wieków oddzielony jest od nas nietylko czasem, ale pojęciami o moralności i przyzwoitości. Nie ma tam całkiem dwuznaczników, a są tylko jednoznaczniki ordynarne, wstrętne, kwalifikujące się jedynie do opowiadania w towarzystwie mężczyzn i to po sutej kolacyi. Ale p. Koźmian lubi takie rzeczy; temu konserwatywno-katolickiemu apostołowi zamało już cuchnie rozpasana wesołość nadsekwańskiej sztuki dramatycznej. Gdyby to zrobił Zalewski, Bałucki, Lubowski, toćby krzyk zgrozy powstał w świętobliwym Krakowie! Ale p. Koźmianowi wszystko wolno: może zarówno obrzucać błotem społeczeństwo, jak zasiewać pornografią.

Opowiadano mi, że kiedy pewnej wielkiej pani pytano się, czy pójdzie na „Lisistratę“, i zwrócono delikatnie uwagę jej na treść utworu, miała w odpowiedzi tylko słowa: „Nazwisko p. Koźmiana jest dla mnie gwarancyą, że mogę iść do teatru.“ W obec takiej wiary w apostoła, nic dziwnego, iż nauki jego w pewnych sferach są przyjmowane z uwielbieniem i nie poradzi na to ów Jezuita, który oświadczył na kazaniu, iż żadna uczciwa kobieta na sztukę tę iść nie powinna. W ogóle zanosi się na to, iż p. Koźmian założy kościół o całkiem odmiennych zasadach etycznych. Świątynię ma już gotową, świeżo kosztem miasta wybudowaną, na której istniejący napis „Kraków narodowej sztuce“ będzie zamieniony na: „Wstęp tylko dla mężczyzn i kobiet doświadczonych“. Cenzura teatralna wyrzuciła wprawdzie p. Koźmianowi wiele najpiękniejszych kwiatów z „Lisistraty“, ale pozostało jeszcze sporo takich pączków, które rozwinięte pod światłem elektrycznem, wydadzą dostateczną woń dla przytępionych zmysłów lubieżników i wesołych cór Grecyi.

Może te laury wynagrodzą p. Koźmianowi kolce, po których stąpa jako mąż polityczny. Bardzo nieładnie obszedł się z nim i z jego „Rzeczą“ p. Jerzy Moszyński — radzę wam przeczytać jego broszurę, wykrywającą dobroczynną działalność p. Koźmiana w roku 1863. A kto ciekawy, niech się postara o ostatni numer „Gazety Kościelnej“ w której ks. Zbyszewski z rzadko u nas spotykającą się otwartością występuje w obronie ideałów narodowych przeciw p. Koźmianowi, nie wahając się zaznaczyć, iż ludzie tego rodzaju, co p. Koźmian, nie mają prawa dawać nauk i wyznaczać kierunku narodowi.

Nie były widocznie bez skutku skargi na opieszałe traktowanie sprawy nominacyi nowego dyrektora Szkoły Sztuk pięknych w Krakowie, z zadziwieniem bowiem wyczytaliśmy wiadomość, iż ministerstwo oświaty ma już upatrzonego kandydata i że niezadługo wyczytamy w urzędowej gazecie nazwisko nominowanego dyrektora. Ponieważ od śmierci Rodakowskiego miesiąc zaledwie upłynął, przeto ten niebywały pośpiech nietylko zadziwia, ale i dobrze wróży o przyszłości spraw innych. Prócz tego nazwisko kandydata usposabia bardzo przychylnie. Jest nim Juliusz Fałat, malarz rozgłośnej sławy, nietylko znany i uznany w kraju, ale mający niepoślednią markę po za jego granicami. Jakim się okaże na stanowisku dyrektora niepodobna z góry osądzić, ale to pewna, że, jeżeli przyjmuje posadę, to ze szczerą chęcią pracowania dla dobra szkoły. O materyalnych jego zyskach mowy być nie może, gdyż pensya przywiązana do dyrektorstwa nie zastąpi mu zapewne tych dochodów, któreby miał, poświęcając czas jedynie dla siebie. Znaliśmy go dobrze w Krakowie przed laty, kiedy już jako ukończony malarz przybył jeszcze popracować pod kierunkiem Matejki. Nadzwyczaj sympatyczny, serdeczny, szczery kolega i przyjaciel, zostawił po sobie dobrą pamięć. Laury jego nikogo nie drażniły, a pomiędzy bracią malarską dość rzadko to się zdarza. Jedynie obawiać by się można, czy wrodzona mu łagodność i uprzejmość odpowie stosunkom, wymagającym dość, zwłaszcza na początku stanowczości.

Rada miejska uchwaliła przyczynić się kwotą 1500 złr. do restauracyi krużganków w klasztorze OO. Dominikanów. — Składki centowe na restauracyą Wawelu doszły do 14,000 złr. — W związku literackim miał pogadankę dr. Zdziechowski, autor „Byrona i jego wieku“ o najnowszej poezyi polskiej; mówił o poezyach Tetmajera i Wierzbickiego. — Nowego biskupa księcia krakowskiego powitamy niezadługo, gdyż skrócono formalności przedwstępne, poprzedzające intronizacyę. — Na rzecz Towarzystwa szkoły ludowej ma być danym raut, którego siłą przyciągającą będzie tak zwany *Journal parlé*. — Jak mówią, Adam Asnyk nie będzie się starał o mandat poselski przy nowych wyborach do sejmu; pragnie podobno odpocząć i usunąć się na czas dłuższy od udziału w sprawach publicznych.

K. Bartoszewicz.

W sprawie krakowskiego karnawału.

Od jednego z naszych przyjaciół, przebywającego w Krakowie, otrzymujemy następujące uwagi:

Ponieważ „Przegląd“ przedrukował wyjątek z idyotycznego fejletonu „Dziennika Pozn.“ o krakowskim karnawale, przeto pozwólcie mi dorzucić w tej kwestyi słów kilka.

Oryginalny zaiste mamy karnawał w Krakowie. Bawią się tylko sfery najwyższe i najniższe: jednego dnia jest na Kleparzu bal służby dworskiej, a drugiego dnia bal w pałacu Potockich „pod Baranami“ — prawda, że i tu po części służba dworska, boć szambelanów pomiędzy bawiącymi się w pałacach nie zabraknie. Balów publicznych nie ma całkiem.

W sprawie żałoby narodowej mogą być rozmaite zdania. Mając swoje własne, nie zabraniam nikomu, aby miał także swoje. Idzie tylko o to, ażeby był sens, ażeby były logiczne podstawy tego zdania. Pojmuję, jeżeli jedni ze względu na smutne wspomnienia postanawiają nie bawić się w karnawale; pojmuję, jeżeli inni mówią: niech nie będzie balów publicznych, bo te by raziły w rocznicę ostatniego rozbioru, ale pozwólmy młodzieży potańczyć sobie prywatnie w kółkach domowych; pojmuję wreszcie, iż można nawet mieć zdanie: na nic nam się nie przyda wszelka manifestacya, nie zmieniajmy zatem trybu życia, nie bawmy się ani mniej ani więcej, tylko tak, jak lat poprzednich. Takie trzy zdania mogą pomiędzy sobą walczyć, a które silniejsze to zwyciężyć powinno. Za pierwszem zdaniem poszła w Krakowie część inteligencyi i młodzieży: za drugiem reszta inteligencyi i młodzieży, oraz sfery mieszczańskie, za trzeciem, jak dotychczas, właściwie nikt nie poszedł, bo na zdania lokajów, pokojówek i żołnierzy, mających swe „bale publiczne“ nikt nie zwraca uwagi. Okazało się jednak, że jest i czwarte zdanie, choć zdawałoby się, że nie ma dla niego już miejsca, że wszelki rozsądek je wyklucza. To czwarte zdanie powstało w łonie arystokracyi, która powiedziała sobie: bawmy się tego roku więcej, aniżeli zawsze, zamanifestujmy swoją radość z powodu rocznicy rozbioru. I stało się, że domy [illegible], nawet znane ze [illegible] i które [illegible] podwoje dla wszelkich zabaw w [illegible] karnawale hucznie wyprawiają bale. [illegible] ków patrząc na to, nie może sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje. Przystąpiono do tej akcyi „nożnej“ z namysłem i z przygotowaniem. Podobno od dawna nie przybyło do Krakowa na karnawał tyle, co w roku bieżącym, pięknych panien z magnackich i dorobkiewiczowskich rodów i tyle młodzieży pełnej i pół krwi arystokratycznej. Te przyszłe „nadzieje ojczyzny“ pracują zapamiętale nad jej odrodzeniem, ślizgając się po posadzkach salonów, flirtując i wychylając kielichy szampana.

Objawu tego nie można nawet brać na seryo, nie można go napiętnować właściwym wyrazem, bo mniej tu zapewne złej woli, ile bezdennej głupoty. Ale ogół nie wchodząc w przyczynę, nie obeznany dokładnie z kretynizmem prowodyrów tej akcyi, sądzi rzeczy tak, jak się przedstawiają. A sąd ten streszcza się w słowach: „cóż dziwnego, że ci panowie się bawią, wszak większa ich część wzrosła na nieszczęściu kraju, wszak zajrzawszy w ich genealogie, wszędzie prawie znajdziemy, że odziedziczyli po mieczu, lub po kądzieli część targowickiej spuścizny.“ Nie przeczę, iż w sądzie takim jest nieco stronniczości, ale czy dziwić mu się można, czy nie jest on wypływem drażnienia opinii przez ludzi, co mają pretensye do jej kierownictwa. Jestto odłam tej samej głupiej po-

lityki kłaniania się, która w Warszawie przez iluminacye i stroje balowe na „galówce“ w teatrze doprowadziła do drugiego carskiego reskryptu do Hurki. Tym panom się zdaje, że wierzgając w Krakowie, pogłaszczą cara w Petersburgu, a on o nich nie dba wcale, ogół zaś im pisze reskryt, a raczej patent . . . na Targowiczan.

NA WYŁOMIE.

(*Jednomyślne potępienie. My a Rzymianie. Sokoły. Lecznica.*)

Jednomyślność! Jakiż to rzadki objaw w ludzkiem rojowisku! A jednak tydzień ubiegły uraczył nas niespodzianką taką, uraczył nas — cóż to za dziwy legendowe?! — jednomyślnością prasy poznańskiej. Artykuł lojalnego „Kuryera“ p. t. „W dzień urodzin cesarza“ w proch się potoczył pod zgodnem natarciem naszej prasy polskiej. „Goniec“, „Orędownik“, „Postęp“ i „Dziennik Poznański“, — jednem słowem cała armia skłóconych żywiołów zawarła chwilowe przymierze, aby cisnąć rękawicę wyuzdanemu byzantynizmowi, już nie tronowego wielbiciela, lecz bigota tronu. Protest dziennikarstwa znalazł echo szerokie w całem społeczeństwie poznańskiem i nawet w tych sferach, które zwykły c i c e r o n o w e artykuły „Kuryera“ czcić jak świętość ewangeliczną, marszczono czoła, kręcono głowami i sarkano po cichu w zaufanem kółku. Inni znów, którzy w braku „Kolców“ lub „Fliegende Blaetter“ na bibule „Kur. Poz.“ szukają humoru, czkawką odpokutowali wielką biesiadę literacką i śmiechu kaskady; a było wreszcie wśród czytającej publiczności kilku tragików koturnowych, ciskających całe lawiny przekleństw na „monarchiczną“ redakcyę i deklamujących jak król Lear na wygnaniu: „Wyjcie wiatry, bijcie gromy, ziemio drżyj!“ Do tej to gromadki zbliżył się w pewnej kawiarni poznańskiej jakiś jegomość o szerokiej i jowialnej twarzy z dobrodusznem uśmiechem na ustach i figlarnem błyskiem w źrenicach. Posłuchał chwileczkę długiej litanii komplementów, skierowanych ku świętomarcińskiej kuźni lojalizmu, a potem położywszy rękę na ramieniu jednego z gromowładnych polityków, tak mówił, oczkiem mrugając:

„Tere fere tatuleńko!“ krzyczą jak najęci, wymyślają redaktorowi jak furmani i niby nie wiedzą, zkąd to wiatr wieje na świętym Marcinie. „Naczelny“ w niektórych redakcyach poznańkich to król malowany. Znam ja takich, co jęczeli jak w bólach porodowych, posyłając do druku rozmaite bomby, [illegible] i fajerwerki. „Ale widzicie, [illegible] przyszedł taki pan [illegible] [illegible] wielkopolski [illegible] — „Przynoszę [illegible] od wielkiego czarodzieja: I mieścisz, albo won!“ Cóż robić? Dzieci krzyczą: „Papu!“ żona: „Tualety!“ Żołądek: „Piwa!“ Marsz chłopak! Nieś do drukarni artykuł! Nie sapcie więc na redaktora. Kowal zawinił, a kołodzieja powiesili.

Tak mówił jegomość o szerokiej twarzy, a gromada tragików politycznych chórem krzyknęła: „To handel idei!“

Uśmiechnął się dobrodusznie: „Handel? Bywajcie zdrowi! Szukajcie Rzymian ze świecą, ja wiem, że jestem w Poznaniu, i żyję w dziewiętnastem stuleciu.“

I poszedł wyrozumiały na słabości ludzkie filozof lub praktyczny filister, drwiący z męczenników. A tragicy długo jeszcze skarżyli się gorzko, że męztwa rzymskiego nie ma już w narodzie. Mówiono o dekadentyźmie, o skarłowaceniu ducha i ciała, o zwyrodnieniu społeczeństwa i gwałtownej potrzebie reformy.

Ileż tam leków zalecano cudownych, ileż ziółek i proszków z podręcznej apteczki! Z sceptycznym uśmiechem słuchałem domorosłych lekarzy, lecz nagle uszu moich doleciał jeden wyraz, który uśmiech ten spłoszył swym dźwiękiem: *Sokoły!* Jakieś rzymskie tchnienie wionęło ku mnie z magnetycznego okrzyku i pragnąłbym rozniesć go dzisiaj na wszystkie strony ojczyzny mojej. Związek ten, to nie proste stowarzyszenie gimnastyków, — to wielka szkoła hartu ciała i ducha, — to wielkie sanatorjum nie tylko członków skarłowaciałych, lecz dusz wyziębłych i miękkich, — to kryształowe źródło nie tylko zdrowia fizycznego lecz rzymskich cnót obywatelskich: odwagi, nieugiętości, miłości i siły przekonań. Galicya już dawno uznała doniosłość „Sokołów“ dla narodowego rozwoju, i gniazda bratniej dzielnicy członków swoich liczą na tysiące. Magnaci, inteligencya i lud, — najwyżsi urzędnicy kraju, pierwszorzędne siły literatury i publicystyki, młodzież, mężowie i starcy, wszystko się garnie do „Sokołów,“ pojmując dokładnie kulturalne i narodowe ich posłannictwo. Tylko u nas cisza jak zwykle i senna apatya, a najliczniejszy „Sokół“ poznański dla braku poparcia nie zdołał dotychczas zgromadzić funduszów, by własną „Sokolnię“ zbudować. Czas już najwyższy, aby nareszcie wyjść z tego odrętwienia i podać rękę dzielnej drużynie sokolskiej.

Sposobność ku temu nadarzy się wkrótce, bo oto „Sokół“ poznański, skreślając w imię „żałoby narodowej“ bal doroczny z karnawałowego programu, postanowił urządzić koncert publiczny na budowę sali gimnastycznej. Na koncercie tym po raz pierwszy wystąpi własna kapela sokolska, a program obfity i barwny, solowe śpiewy, smyczkowe popisy, garść humoru w mimicznych i wokalnych produkcyach, — oto uczta, którą niebawem zgotuje nam dzielne sokolstwo. Czy publiczność poznańska usłucha pobudki mojej i zapełni salę po brzegi? O! pragnę tego gorąco, bo atmosfera obojętności zwichnąć gotowa sokole skrzydła, a gdy królewskie ptaki ogrzejecie ciepłem serdecznem, wtedy spotężnieją i wzbić się mogą wysoko. I pragnę również, żeby ta sympatya nie ograniczała się do udziału w zabawie koncertowej. lecz towarzyszyła stale „Sokołom“ poznańskim, aby w szeregach Związku stanęli wszyscy ludzie dobrej woli i serca, a lekcye ćwiczeń gimnastycznych nie świeciły pustkami.

Pragnę — ileż razy to słowo powtarzałem w artykułach moich bez echa. Są choroby duszy zbiorowej w narodzie naszym, które w rozpacz wprowadzają wszystkich lekarzy i kliniki społeczne, i niechaj mi wierzy ta dziatwa Eskulapa, która przed kilku tygodniami powołała do życia pierwszą lecznicę dla chorób ciała w w Poznaniu, że my każdy rezultat okupujemy nakładem większego trudu, większego zaparcia i większych udrręczeń niż ona.

Proszę tylko nie posądzać mnie o zazdrość nizką. Pracujemy wszyscy, choć w innych kierunkach, nad dobrem ludzkości i lekarz ducha, zdobywający sobie mozolnie piędź po piędzi grunt pod nogami, zapisuje z żywą radością i serdecznem uznaniem błyskawiczny tryumf swoich kolegów — lekarzy ciała. Pierwsza lecznica poznańska, założona przez grono polskich Eskulapów, zjednało sobie — jak słyszę — w przeciągu kilku zaledwie tygodni szerokie zaufanie polskiego i niemieckiego społeczeństwa, a tem samem dowiodła, że odpowiada potrzebie chwili i spełnia sumiennie obowiązki swoje. Instytut ten, udzielający za minimalną opłatą 50 fenygów starannej opieki i porady sanitarnej, jest istotnem dobrodziejstwem dla miasta naszego, bo chociaż urzędowe „kasy zdrowia“ ułatwiały mniej zamożnej ludności zasięganie pomocy lekarskiej, to za obrębem „kas“ stał wielki tłum drobnych urzędników, młodzieży handlowej, żon i dzieci z warstw robotniczych, który bezpłatnej opieki lekarskiej szukał napróżno lub wstydził się do niej apelować, a taksy normalnej opłacać nie mógł. Z stosunków takich wynikało niejednokrotnie, mianowicie w chorobach chirurgicznych i kobiecych, niebezpieczne zaniedbanie cierpienia i śmierć w konsekwencyi, a historya klinik i szpitalów dostarcza tu na potwierdzenie charakterystycznych przyczynków.

To też pierwszą lecznicę w Poznaniu, założoną i kierowaną przez grono lekarzy-specjalistów, witam z prawdziwą radością. Jeżeli ciernie życia dziennikarskiego stargają mi nerwy i płuca, nie omieszkam zapukać do wrót tej eskulapowej świątyni, gdzie chorym zdrowie wracają, a zmęczonych krzepią — koniakiem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W dniu 30 stycznia doręczono ks. Adamowi Sapieże adres dziękczynny, zaopatrzony podpisami z wszystkich dzielnic Polski, jako dowód czci i hołdu za trudy podjęte około wystawy lwowskiej. Adres wręczyła deputacya złożona z 300 osób. Pogłoska o ustąpieniu marszałka parlamentu Levetzowa pojawiła się znowu w prasie niemieckiej. — „Dziennik Pozn.“ ogłosił kilka dokumentów, dotyczących spółki H. K. T. Z dokumentów tych wynika, że stowarzyszenie to posiada rozgałęzioną organizacyę, biuro prasowe, mężów zaufania i t. d. — Rewelacye głównego organu socyalistycznego „Vorwärts“, który ku zdumieniu wszystkich co chwila wydobywa na jaw tajne dokumenty rządowe, zastraszył w wysokim stopniu władze, które, jak nam dzisiaj donosi telegraficzne biuro Wolffa, zarządziły śledztwo celem wykrycia osoby dopuszczającej się systematycznie zdrady zaufania. — W powiecie chełmskim w ostatnich dniach aresztowano ośmnastu księży wskutek denuncyacyi. Przyczyną było dawanie ślubów przez księży byłym unitom. Rząd zaprowadziwszy w całym powiecie prawosłowie, uważa także postępowanie kapłanów katolickich za karygodne. — Studenci warszawscy, wywiezieni do wschodniej Rosyi za zakupienie nabożeństwa w stulutnią rocznicę powstania w Warszawie, wskutek amnestyi cara Mikołaja II powrócili do kraju i oddani zostali tylko pod dozór policyi.

Teatr i muzyka. Helena Modrzejewska wystąpiła w czwartek po raz ostatni na scenie poznańskiej w dramacie „**Dalila**“. Zamiar artystki, aby urządzić dwa przedstawienia w Kaliszu, nie przyszedł do skutku, ponieważ władze rosyjskie zabroniły Modrzejewskiej występować w granicach caratu. — Do Poznania zjeżdża niezadługo na gościnne występy Mieczysław Frenkel, artysta teatrów warszawskich. — Znakomity tenor berliński Rothmil, wystąpił w poznańskim teatrze miejskim w partyi Lohengrina. — Teatr lwowski wystawi w poniedziałek dwa nowe utwory oryginalne: „Komedya konkursowa“ Adama Asnyka i „Dzień w redakcyi“ Zyg. Przybylskiego. — „Wilenskij Wiestnik“ dowiaduje się, iż prezesem dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie zostanie albo Muchanow, który już przez lat kilkanaście zajmował to stanowisko, albo hr. Wielopolski (młodszy). Scena łódzka wystawiła po raz pierwszy operetkę Millöckera p. t. „Zaklęty zamek.“ — Józef Śliwiński ukończywszy swe występy w Anglii grać będzie w Rydze i Wilnie, a następnie zjedzie do Warszawy.

Zmarli:

Franciszek Certain de Canrobert, ostatni z marszałków trzeciego cesarstwa, głośny swego czasu z zwycięztwa swego nad Almy w Krymie, zm. 28 stycznia w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Y. Adresu żądanego nie mamy pod ręką. Racz się Pan zgłosić do redakcyi „Kuryera Lwowskiego“ (Chorążczyzna 1), która niewątpliwie udzieli żądanych informacyi.

Par. Tak jest. „Vorwarts“ a nie „Volk“ publikował swojego czasu tajne orędzie w sprawie maltretowania żołnierzy.

A. M. Wierszyk zaczynający się od słów: „Bewahr dein Heiligthum, die Sprache“ publikowany był przed kilku tygodniami w „Alldeutsche Blätter“. Nazwiska autora nie przypominamy sobie.

Filipota. Polecamy „Emancypantki“ Prusa i „Rodzinę Połanieckich“ Henryka Sienkiewicza. Druga z wymienionych powieści ukaże się za kilka dni na półkach księgarskich.

Slaz. Radzimy zgłosić się do dr. Krysiewicza (Św. Marcin 57).

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli: B. K a s p r o w i c z z Gniezna 10 M. Przegrany zakład 4 M. Ogółem zebraliśmy dotychczas 696,75 M.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli: J ó z e f G r o s m a n, czysty zysk z obchodu Kościuszkowskiego w Inowrocławiu w ilości 280,65 M. O d k u p c ó w w O s t r o w i e 42,50. Razem 323,15. Ogółem zebraliśmy dotychczas na cel powyższy 475,40 M. Sumę tę złożyliśmy w Banku Przemysłowców Polskich jako centralnemu miejscu składek.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.